

1455~

DZIEJE JÓZEFA

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI



DZIEJE JÓZEFA

POWIEŚĆ



~~BIBLIOTHECA
RESIDENTIAE CATHOLICAE
P. P. SOCIETATIS~~

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ
KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO., INC.



65151

BIBLIOTEKA UNIwersYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0268791

I. PROROK

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1913

K-114/70/65151 P

DZIEJE JÓZEFA

Mały salon baronowej Putiphara de Putyfarowskiej, żony znanego przemysłowca i konsula egipskiego, czy też raczej konsula egipskiego, który poza służbą dyplomatyczną ma jeszcze czas zajmować się i interesami handlowo-przemysłowymi, a ponieważ jest zdolny, więc zajmuje się nimi z powodzeniem.

Określenie »mały« nie stosuje się do rozmiarów salonu. Ma ono znaczenie głębsze i symboliczne. »Mały salon« to znaczy salon dla małego kółka wybranych. Baronowa przyjmuje w nim tylko najzaufanszych swych gości. Być przyjętym w »małym salonie« jest pewnego rodzaju zaszczytem i wyróżnieniem.

Przyjaciele baronowej zachwycają się urządzeniem »małego salonu«. Nie ma w nim nic, coby nie było wysoce artystyczne. Każdy drobiazg posiada muzealną wartość. Ale niema muzealnego przeladowania — wszystko jest szarmonizowane i dyskretne. Na tem tle zbyt jaskrawą plamę tworzy tylko sama baronowa, osoba tuszy nieco rozlewnej. Nawet kółko techników, fabrykujący środki na zaokrąglenie biustu,

zawahałby się może przed umieszczeniem fotografii jej na ogłoszeniu.

Przez popularny, a nieuzasadniony przesąd, ludzi nadmiernej tuszy pomawia się zazwyczaj o brak temperamentu i pewnego rodzaju ociężałość umysłową. W żadnym razie nie może się to stosować do baronowej. Jak wskazuje brzmienie pierwszej części nazwiska, rodzina Putiphara de Putyfarowskich jest pochodzenia włoskiego. Nazwisko panięskie baronowej brzmi wprawdzie inaczej, nie po włosku, ale ten brak okupują południowe rysy twarzy i sycylijskie iskry temperamentu we krwi.

Poza tem baronowa jest osobą o wysokiej, subtelnej i wyrafinowanej kulturze umysłowej. Popiera sztukę, literaturę i filozofię. Przez mały salon jej przesuwają się wszystkie znakomitości intelektualne, jakie stale czy przelotnie, ma zaszczyt gościć w swoich murach Warszawa.

Od paru dni najmilej widzianym w małym salonie gościem jest profesor Dyonizy Szczytnicki, okultysta, który po czteroletnim pobycie w Indjach, ojczyźnie wiedzy tajemnej, powrócił do kraju z zamiarem osiedlenia się na stałe i propagowania swych idei. Wysoki, okazały mężczyzna, z rozwianą jasną brodą o mistycznym, natchnionym wyrazie oczu.

Herbata popołudniowa, czyli krótko po polsku »fajf«. Dopuszczone tylko najściślejsze kółko wybra-

nych. A więc: profesor, najbliższa przyjaciółka baronowej pani Nelly Siewnicka, stale przebywająca w Warszawie żona obywatela ziemskiego, który ze swej strony stale przebywa w jednym z sanatoryjów zagranicznych, panna Marusia Putiphara de Putyfarowska, córka barona z pierwszego małżeństwa, wątła, anemiczna blondynka, pan Sławomir Toporski, przystojny brunet.

Na stołach kwiaty, tace z ciastkami i cukrami.

Rozmowa toczy się o tematach okultystycznych. Profesor Szczytnicki, rozparty niedbale w fotelu, opowiada o harmonii sił, rządzących wszechświatem. Wszyscy słuchają go w nabożnem skupieniu. Toporski bawi się nerwowo monokłem. Widocznem jest, że światło wiedzy tajemnej z trudem przenika do jego zmateryalizowanego mózgu. Dlatego sam się nie odzywa. Ale przychodzi moment, w którym jeden stanowczy frazes profesora skłania go do wzięcia udziału w rozmowie.

TOPORSKI (z ożywieniem). Więc pan wierzy że siłą woli można się wyleczyć z każdej choroby?

PROF. SZCZYTNICKI (uśmiecha się dobrotnie). Bezwątpienia. Nietylko można się wyleczyć, ale przedewszystkiem można do choroby nie dopuścić. Trzeba o tem pamiętać, że wszelkie tak zwane cierpienia fizyczne wynikają z naszej niedoskonałości duchowej.

TOPORSKI (*tonem, który świadczy, że tak zupełnie nie jest o tem przekonany*). Tak...

PROF. SZCZYTNICKI. Pan był na moim odczycie ?

TOPORSKI. Niestety mimo najszczerzej chęci nie mogłem być. Musiałem w zeszłym tygodniu wyjechać na parę dni z Warszawy. Żałuję niezmiernie.

MARUSIA. Ale pan profesor powtórzy swój odczyt ?

PROF. SZCZYTNICKI. Nie wiem.

PANI NELLY. Powinien pan powtórzyć.

BARONOWA. Koniecznie (*do Toporskiego z entuzjastycznym zapalem*). Wie pan, że ja nie pamiętam w Filharmonii takiego tłoku, jak na odczycie profesora. Chyba że parę tysięcy osób było. I ta cisza, to skupienie z jakim wszyscy słuchali wykładu. Doprawdy było w tem coś wzruszającego.

PANI NELLY. Widziało się nawet zupełnie prostych ludzi, rzemieślników, robotników fabrycznych, a to są przecież sfery zarażone socjalizmem.

BARONOWA. I to jest właśnie dowód tej wielkiej, instynktownej tęsknoty mas do odrodzenia. Ach, jakżeż pan prześlicznie o tem mówił!

TOPORSKI. Nie mogę odżałować, że nie

byłem... Ale sądzę, że wobec takiego powodzenia.

BARONOWA. Ach, tu nie może być mowy o powodzeniu!

TOPORSKI. To jest chciałem powiedzieć tryumfu.

BARONOWA. Ani o tryumfie!

PROF. SZCZYTNICKI (*z dobrotliwym uśmiechem mędrca, wyrozumiałego na niedoskonałości i błędy natury ludzkiej*). Takie pojęcia, jak tryumf i powodzenie powstały z grzesznego uczucia pychy. A przedewszystkiem pychy się trzeba wystrzegać, pychy!

BARONOWA. Największy nasz grzech narodowy!

TOPORSKI. Tak, tak... Bardzo słusznie to pani baronowa zauważyła. Największy nasz grzech narodowy (*zwracając się do profesora Szczytnickiego*). Pan profesor, zdaje się, bawił jakiś czas w Indyach ?

PANI NELLY (*uprzedzając profesora*). Cztery lata.

TOPORSKI. Żałuję bardzo, że nie byłem w Indyach. Wyobrażam sobie, że to musi być niesłychanie ciekawy kraj.

Pani Nelly nachyla się do Marusi i szeptem parę słów. Marusia dzwoni.

Wchodzi Józef, nowy służący, który od paru dni dopiero jest na służbie. Prześliczny chłopak. Mimowoli nasuwa się określenie »młody bóg grecki« z tą różnicą oczywiście, że bogowie greccy nie nosili libery. Ale lokaje nie mogą chodzić nago.

Marusia daje mu znak oczami, żeby podał pani Nelly herbatę. Józef wychodzi powoli, widocznie pod słuchując, co mówi Szczytnicki.

PROF. SZCZYTNICKI. Te Indye, które ja zwiedzałem, niewiele mają wspólnego z Indyami zwykłych podróżników (*po chwili, rozmarzonym głosem*). Mieszkałem w starym buddyjskim klasztorze u podnóża Himalajów. Była to okolica dzika i niedostępna...

TOPORSKI. Polował pan?

Zapytanie tego rodzaju zwrócone do maga i wegeterjanina wywołuje chwilową konsternację. Marusia i pani Nelly mierzą Toporskiego spojrzemiami, w których maluje się zgorznienie.

TOPORSKI (*szybko starając się naprawić swoje niezręczne odezwanie*). To jest nie mówię dla przyjemności, ale przecież w takich krajach trzeba samemu zdobywać pożywienie.

PROF. SZCZYTNICKI. Wystarczał mi kubek źródlanej wody i dwa orzechy.

TOPORSKI. Na cały dzień?

Józef wchodzi, podaje pani Nelly herbatę, wracając znów pod słuchuje Szczytnickiego.

PROF. SZCZYTNICKI. Nawet na dwa dni, bo co drugi dzień powstrzymywałem się całkowicie od wszelkich pokarmów fizycznych.

Józef, który wyszedł przed chwilą z salonu, zbliża się na palcach ku drzwiom i przystanąwszy za portyera pod słuchuje. Spozstrzega go pani Nelly, ogląda się, Józef się cofa spłoszony. Prócz pani Nelly nikt tego nie zauważył.

MARUSIA. Wszyscy kapłani indyjscy tak żyją. To racjonalne pożywienie daje im siłę.

TOPORSKI (*wstając*). To niesłychanie ciekawy kraj Indye... Ja panią baronową pożegnaj.

MARUSIA. Ale na następny odczyt pan się wybierze?

TOPORSKI. Aa, ma się rozumieć.

PROF. SZCZYTNICKI. Skoro pana te sprawy zaciekawiają, mogę panu polecić moje dziełko »O czystości i głębokiem oddychaniu«.

TOPORSKI. A, bardzo panu będę wdzięczny. W tej chwili sobie zapiszę (*wyciąga elegancki notes*). O czystości i... (*pytające spojrzenie na profesora*).

PROF. SZCZYTNICKI. Głębokiem oddychaniu...

Józef niezrażony tem, że go raz spłoszono, znów pod słuchuje za drzwiami.

PROF. SZCZYTNICKI (*przeczekawszy, aż Toporski zanotował tytuł dzieła*). Jest to metoda ćwiczeń psychofizycznych, pozwalająca rozwinąć w sobie potęgę woli do bezgranicznych rozmiarów. Ja to ~~stud~~ystydowałem w Indjach. Sędziwi kapłani, skarbnicy tajemnych dostojeństw duszy ludzkiej byli moimi mistrzami.

TOPORSKI. I to jest tak skuteczne?

PROF. SZCZYTNICKI. Głębokie oddychanie? Oddychanie jest najważniejszą funkcją życiową. Od pokarmu możemy się powstrzymywać po parę tygodni. Bez oddechu nie można żyć ani chwili. Oddychając umiejętnie nagromadzamy w ciele praną, ów tajemniczy pierwiastek, który jest dźwignią bytu. Prana dostaje się do organizmu przez kanał, biegnący wzdłuż krzyża pancerzowego, a nieznaną fizyologom zachodu. Im więcej kto ma w sobie prany, tem jest silniejszy, rozumniejszy, zdrowszy. Trzeba kształcić wolę, opanować zmysły, wyrzec się grzechu, a wówczas droga do doskonałości jest przed nami otwarta. Możemy dojść do potęgi nadludzkiej. (*po chwili wpatrując się magnetyzującym spojrzeniem w Toporskiego*). Wszystko to znajdzie pan w mojej książce. Dostać pan może w każdej księgarni, a najlepiej bezpośrednio u mnie w prywatnym mieszkaniu. Ma pan mój adres?

TOPORSKI. Nie.

PROF. SZCZYTNICKI. Służę panu (*podaje mu bilet wizytowy*). Cena egzemplarza bez oprawy trzy ruble, w oprawie pięć. Oprawa jest bardzo ładna.

TOPORSKI. Ja ogromnie lubię ładne okładki.

MARUSIA. Czy pan był na ostatnim posiedzeniu naszego komitetu?

TOPORSKI. Nie.

MARUSIA. I ja nie mogłam być... Ale we środę niech pan przyjdzie koniecznie.

Marusia i Toporski wychodzą rozmawiając.

Chwila ciszy.

PROF. SZCZYTNICKI. Sympatyczny młodzieniec.

PANI NELLY. On? Podobał się panu profesorowi?

PROF. SZCZYTNICKI. Powierzchnowy, zaślepiony materialnymi drobiazgami życia, a raczej tego przelotnego okresu istnienia, który my nazywamy życiem — ale... trzeba być wyrozumiałym. I w takiej duszy mogą się tlić iskry tęsknoty.

BARONOWA. Panie profesorze, wie pan co ja najbardziej w panu podziwiam — pańską dobroć i wyrozumiałość dla wszystkich.

PROF. SZCZYTNICKI. O jakim to komitecie wspominała panna baronówna?

BARONOWA. Ach, Marusia!... Ona jest taka entuzjastka. Wiecznie pragnie coś dobrego robić.

PROF. SZCZYTNICKI. Odziedziczyła to po pani. Podobieństwo zewnętrzne jest uzmysłowieniem jedności duchowej. A panna baronówna jest zadziwiająca do pani podobna.

BARONOWA (*z akcentem lekkiego zakłopotania w głosie*). Ale... właściwie Marusia jest córką mego męża z pierwszego małżeństwa.

PROF. SZCZYTNICKI (*uśmiechem ironii zbywa ten błahy sarsut — po chwili*). Nic nie znaczący szczegół. Zewnętrzność. Poza związkami krwi istnieje tajemne, głębokie powinowactwo duchowe. Pani jest mistyczną matką panny Marusi! Rzecz prosta, to się w ramach naszych utartych, poziomych pojęć nie mieści. Niech mi pani wierzy, że są córki, które wcale nie mają matek. (*po chwili*) Ale pani baronowa zaczęła coś mówić, a ja przerwałem.

BARONOWA. Ach, więc wciąż się teraz o tem pisze, że największym nieszczęściem jest brak narodowego mieszczaństwa. Otóż, za inicjatywą Marusi grono panien przewaźnie z arystokracji i sfer ziemiańskich postanowiło zająć się wytworzeniem zamożnego stanu średniego u nas. W tym celu zawiązał się komitet, który ma obmyśleć jak najenergiczniejsze środki działania.

MARUSIA (*wbiegając do salonu*). Mamo to jeszcze tajemnica!

BARONOWA. Profesorowi można ją powierzyć.

PROF. SZCZYTNICKI. Ja jestem powiernikiem dyskretnym.

PANI NELLY. Na moją dyskrecję możesz również liczyć. Cóżescie obmyśliły?

MARUSIA. Och, nic jeszcze... Przed paru dniami dopiero zawiązał się komitet.

PROF. SZCZYTNICKI. Pozwoliłbym sobie na małą poprawkę. Zamiast narodowego mieszczaństwa potrzeba nam uduchowionego mieszczaństwa.

MARUSIA. Jak najserdeczniej panu profesorowi dziękuję. Zaraz na następnym posiedzeniu postawię ten wniosek, o, i jestem przekonana, że będzie jednomyślnie przyjęty.

BARONOWA (*do pani Nelly*). Nelly, herbaty jeszcze?

PANI NELLY. Dobrze. Wstyd mi pana, profesorze, ale ja tak lekką herbatę pijam, że to prawie woda.

Józef wchodzi, zabiera filiżankę pani Nelly i widocznie ociąga się z wyjściem, podstuchując Szczytnickiego. Wyszedłszy przystaje za portyera i podstuchuje w dalszym ciągu.

PROF. SZCZYTNICKI. Należy się wystrzegać wszelkich narkotyków, choćby najniewinniejszych napozór.

PANI NELLY. To tak trudno.

PROF. SZCZYTNICKI. Ale nagrodą za wysiłek jest wewnętrzna moc ducha, która daje panowanie nad światem.

(Dzwonek telefonu).

BARONOWA *(podchodzi do stołu)*. Ach to ty... *(na twarzy jej maluje się wyraz przykrego zmieszania)*. I kiedyż to się stało?... Aa... — Przyjedziesz do nas?... Jak najprędzej... Dowidzenia *(sztucznym śmiechem usiłuje pokryć zdenerwowanie)*. Anielka mię rozśmieszyła, ona ma taki zabawny sposób mówienia... *(zwracając się do Szczytnickiego)*. Wszak pan zna moją siostrę?

PROF. SZCZYTNICKI. Nie mam zaszczytu.

BARONOWA. Zdawało mi się, że pan ją poznał u nas.

MARUSIA. *(patrzac niespokojnie na baronową)*. Ciocia zaraz do nas przyjedzie?

BARONOWA *(krótko)*. Tak. *(Roztargniona, najwidoczniej myśląc zupełnie o czem innym zwraca się do Szczytnickiego)*. Więc kiedyż pan profesor powtórzy swój odczyt?

PROF. SZCZYTNICKI. Zaciekawienie, jakie odczyt mój wzbudził, przekonało mię, że grunt

do pracy duchowej jest podatny. Wobec tego postanowiłem rozszerzyć zakres działania, mianowicie założyć pismo.

MARUSIA. Pismo?

PANI NELLY. Cudowna myśl! Mojem zdaniem pan profesor dawno już powinien był to uczynić.

PROF. SZCZYTNICKI. Rozesłałem obecnie odezwę do najwybitniejszych przedstawicieli naszego społeczeństwa *(do Baronowej z uśmiechem)*. Przesłałem ją również panu konsulowi.

BARONOWA. Ach... tak.

PROF. SZCZYTNICKI. Sądzę, że pan konsul, jako przedstawiciel Egiptu zechce się może zainteresować mojem wydawnictwem. Kapłani egipscy położyli wielkie zasługi na polu rozwoju tajemnej wiedzy *(po chwili)*. Czy pan konsul nie wspominał pani o tej odezwie?

BARONOWA. Nie, ale być może, że nie miał jeszcze czasu jej przeczytać. Mąż mój ma teraz tyle różnych spraw na głowie.

PROF. SZCZYTNICKI. Pan konsul bardzo czynne życie prowadzi.

BARONOWA. U nas w kraju tyle jest do roboty.

PANI NELLY. Baron zawsze powtarza, że

trzeba stwarzać nowe źródła pracy, walczyć z ospałością, elektryzować społeczeństwo.

BARONOWA. Teraz zwłaszcza pochłonięty jest pracą. Prowadzimy, to jest mąż prowadzi pewien interes, który może mieć nawet bardzo wielkie społeczne znaczenie.

PANI NELLY. To towarzystwo akcyjne?

BARONOWA. Tak. Pepi jest tak zajęty, że prawie wcale nie widzimy go w domu... Wiesz zresztą... Wciąż zebrania, sesje, posiedzenia.

PROF. SZCZYTNICKI *(po chwili)*. Program ideowy całego wydawnictwa mam już jak najdokładniej wytknięty, pozostają tylko jeszcze pewne materyalne drobiazgi do usunięcia.

BARONOWA. Ach, ta materyalna strona życia...

MARUSIA. Mamo, przecież to tak łatwo usunąć!

Baronowa mierzy Marusię przywołującym do porządku spojrzeniem.

PROF. SZCZYTNICKI. Trzeba wierzyć panno baronówno, wierzyć, że się wszelkie przeszkody usunie!

Po słowach tych wypowiedzianych podniesionym tonem, zapada chwila ciszy. Mistyczne oczy profesora Szczytnickiego nabierają już jakiegoś nadmystycznego, natchnionego wyrazu. Wpatrzony w jeden

punkt, siedzi nieruchomo z dłonią wzniesioną ku górze, jakby przygotowaną do błogosławieństwa.

Oczywiście nikt tej ciszy nie śmie przerwać.

PROF. SZCZYTNICKI. Wierzę, wierzę... *(wstaje z fotelu i krokiem lunatyka wychodzi z pokoju, we drzwiach jeszcze raz powtarza)*. Wierzę.

Chwila ciszy. Wszyscy są nieco oszołomieni.

PANI NELLY. Niepospolity człowiek.

BARONOWA *(z roztargnieniem)*. Tak. *(po chwili)* Przyznam ci się jednak, że jego sposób zachowania razi mię czasami. Mógłby się nauczyć mówić »Dowidzenia« przynajmniej.

MARUSIA. Ach, mamo, czy taki człowiek, jak on, może się liczyć z konwenansami towarzyskimi.

BARONOWA *(zwracając się do pani Nelly)*. Ale ty herbaty nie dostałaś?

PANI NELLY. Dziękuję ci, nie będę piła. Muszę zaraz już iść.

BARONOWA. Ależ moja droga *(dzwoni)*. Musiałam zmienić służącego, ale widzę, że i z tego nie będę miała pociechy.

PANI NELLY. Wiesz, co ja zauważyłam... Przez cały czas, jakżeśmy tu rozmawiali, on podsłuchiwał pode drzwiami.

MARUSIA. Nie może być!

Baronowa mierzy przeciągłym spojrzeniem Marusię.



Do salonu wchodzi Józef, wnosząc na tacy filiżankę herbaty dla pani Nelly.

BARONOWA (*do Józefa*). Strasznie długo.

Józef wyprostowuje się i patrzy pokornym wzrokiem na Baronową.

BARONOWA. Na cóż ty czekasz?

JÓZEF. Proszę jaśnie pani Baronowej...

BARONOWA. Odejdź (*Józef wychodzi*).

PANI NELLY. Niewyrobiony jeszcze, ale śliczny chłopak.

BARONOWA. I zauważyłaś, że podsłuchiwał?

PANI NELLY. Ostatecznie mogło mi się zdać tylko.

MARUSIA. Ja wątpię.

PANI NELLY (*pośpiesznie*). No, ale ważniejsza jest sprawa pisma, które Szczytnicki chce założyć. Ja uważam, że pismo takie jest niezbędne. To będzie poprostu patryotyczny czyn. Nie prawdaż, Julu, że można tak powiedzieć?

BARONOWA. Bezwątpienia.

PANI NELLY. Nie wiem, czy jest na świecie tak zmateryalizowane społeczeństwo, jak nasze. I temu koniecznie należy przeciwdziałać. On mi opowiadał plan tego pisma... Cudowne rzeczy... Raz moglibyśmy naprawdę zaimponować Europie.

BARONOWA. Ach, to on ci mówił już o tem?

PANI NELLY. Wspominał mi.

MARUSIA. Czy to będzie tygodnik?

PANI NELLY. Na razie, niestety, miesięcznik.

MARUSIA. A kiedyż pierwszy numer wyjdzie?

PANI NELLY. Ano... gdy będzie miał odpowiednią materalną podstawę.

MARUSIA. Mamo, my mu musimy dopomódz! Ileby to potrzeba było pieniędzy na takie pismo?

BARONOWA. Ach, Marusiu, mamy czas na obliczenia. Czy to miss Gerard dziś nie przychodzi? (*Jest to dyskretna wskazówka, aby Marusia się usunęła*).

MARUSIA. Ach, dobrze, że mi mama przypomniała... Mam sobie jeszcze niektóre rzeczy przygotować... Pożegnaj panią... Uciekam do roboty.

PANI NELLY. Do widzenia. (*W chwilę po wyjściu Marusi z akcentem szczerzego ubolewania w głosie*). Biedny ten Szczytnicki...

BARONOWA. Sama wiesz chyba najlepiej, jak szczerze pragnęłabym mu dopomódz, ostatecznie chodzi o głupstwo, cóż na założenie takiego pisma potrzeba?... Ale teraz przez jakiś czas z Pepim niepodobna będzie o niczem mówić.

PANI NELLY. Czy miał jakie zmartwienie?

BARONOWA. Miał. Telefonowano mi właśnie.

PANI NELLY. Wiesz, ja odrazu przeczułam, że to jakaś nieprzyjemna nowina.

BARONOWA. Wyobraź sobie (*parska śmiechem*). Napozór to jest zabawne, ale dla mnie, niestety, smutne. Genia, wiesz, kto to?

PANI NELLY. Przyjaciółka barona.

BARONOWA. Tak. Zdradziła go.

PANI NELLY. I ona!

O ile prawdziwych przyjaciół poznaje się w nieszczęściu, to w tej chwili stwierdzić można, że pani Nelly jest prawdziwą przyjaciółką baronowej. Przykra nowina wywarła na nią wstrząsające wrażenie. Chwila milczenia. Cóż w takich razach znaczą słowa pociechy?

BARONOWA (*z westchnieniem*). Zdawało się, że ten stosunek będzie już trwały... A tymczasem... Znalazła sobie jakiegoś amant de coeur i Pepi przyłapał ich dziś rano w takiej sytuacji, że... (*macha beznadziejnie ręką, po chwili*) Znała ją przecież.

PANI NELLY. Ależ ma się rozumieć. Wciąż ją widywałam w teatrze, na wyścigach... Trzeba jej oddać sprawiedliwość, że się umiała bardzo efektownie ubierać. A przytem skromnie. Powiedziałabym nawet, że wcale nie wywierała wrażenia demimondaine'y... I w gruncie rzeczy, musiała być z niej niezła dziewczyna.

BARONOWA. Idealna. Wszystkie żony mogłyby mi jej były zazdrościć. Żadnych ekscentrycznych wybryków, żadnych wymagań. Pamiętasz ty tę czarną Julkę z baletu?

PANI NELLY. Pamiętam, pamiętam...

BARONOWA. To była właśnie poprzedniczka Geni. Szczęściem, że Pepi już po dwóch tygodniach przyłapał ją na zdradzie... Co ona go przez te dwa tygodnie kosztowała! I jak go denerwowała... Słowa niepodobna z nim było wtedy zamienić.

PANI NELLY. A czy nie możnaby tego jakoś załagodzić? Wmówić w barona, że to było tylko nieporozumienie. Przecież mężczyźni to czasami w to wierzą.

BARONOWA. Nie. Zdrady Pepi nie przebaczy. On pieniędzy nie żałuje, ale chce, żeby go bezinteresownie kochano. To jest jego mania.

PANI NELLY. Z tą Genią stosunek trwał już dość dawno przecież?

BARONOWA. Rok prawie... I miałam nadzieję, że to się na parę lat zaciągnie.

PANI NELLY. A pocóż baron chodził tam rano?

BARONOWA. A dyabli... O, przepraszam cię, moja droga, ale zrozum moje położenie... Teraz, jak się sukcesya otworzy, kandydatek znajdzie

się oczywiście mnóstwo. Czy ja wiem, pod jaki wpływ Pepi się dostanie... Nie chodzi już nawet o pieniądze, ale... jakby to powiedzieć, mojemu mężowi potrzeba przyjaciółki... łagodnej.

PANI NELLY. Rozumiem, rozumiem...

BARONOWA. Genia miała takie ogromne poczucie taktu... we wszystkim. *(po chwili)* Ach, cóż za ciężką krzywdę wyrządziła mi ta dziewczyna... Ja tak się do niej przyzwyczaiłam, mogę powiedzieć, żem ją nawet lubiała...

PANI NELLY. Ale, że też ona nie umiała tak się jakoś urządzać, żeby baron ich nie przyłapał.

BARONOWA. Właśnie... Tego nie rozumiem... Skoro my...

PANI NELLY. Co?

BARONOWA. To jest chciałam powiedzieć, że skoro przyzwoite kobiety potrafią tak zdradzać mężów, że nikt o tem nie wie, no to takie damy tembardziej powinnyby to umieć.

PANI NELLY. To prawda, przecież one się w tem specjalizują.

BARONOWA. Pepi nie ma szczęścia. *(po chwili)* Wiesz, ja się trochę obawiam, że on naprawdę był do niej przywiązany.

PANI NELLY. Myślisz?

BARONOWA. Zdaje mi się. Już choćby przez wdzięczność, że tak długo obywało się bez skandalu.

PANI NELLY. Ciekawa też jestem, kogo baron teraz sobie znajdzie?

BARONOWA. O, że będzie bardziej wymagająca od Geni, to z góry można przewidzieć. W tego rodzaju stosunkach zawsze początki są najkosztowniejsze.

PANI NELLY. No i najbardziej denerwujące.

BARONOWA. Tak. Potem to się to reguluje. A teraz czasy ciężkie, gotówka strasznie droga i jak na złość w takiej chwili to wypadło. Mniejsza już o to wszystko zresztą, ale teraz Pepi powinienby mieć swobodną głowę. Wspominałam ci o tem towarzystwie akcyjnym. Pojęcia nie masz, jakie to może być dla nas dobre. Pepi miał dziś odbyć właśnie bardzo ważną konferencyę z prezesem Majbaumem.

PANI NELLY. Tak, to niewesołe.

BARONOWA. To smutne.

Podczas gdy obie panie zajęte są tą żalostną rozmową, Marusi oczekującej w swym panińskim buduaru na miss Gerard błyska nagle stanowcza myśl w głowie...

Zbliża się do dzwonka. Dzwoni.

Po chwili pukanie do drzwi.

Minąwszy parę pokojów, baron wchodzi do swego prywatnego gabinetu. Zatrzymuje się przed lustrem. Z ram wychyla się ku niemu dystygowana postać konsula Putiphara de Putyfarowskiego. Włosy zlekka przypruszone siwizną, coś orlego w wyrazie twarzy (nos). Mniejsza o szczegóły zresztą... Całość jest imponująca. Pan w każdym calu, urodzony do rozkazywania. I jak można z byle łapsardakiem takiego człowieka zdradzać?

Zagadkowość i zepsucie natury kobiecej występują przed baronem znów w całej pełni.

BARON. Bydlę!

W tem jest wszystko.

Przechodzi do salonu, gdzie zastaje jeszcze panią Nelly.

BARON. A, witam panią.

BARONOWA (*pośpiesznie*). Jakże się prezes miewa?

BARON. Nie widziałem prezesa.

Baronowa rzuca smutne porozumiewawcze spojrzenie na przyjaciółkę. Stało się to właśnie, co przed chwilą przepowiadała. Pod wpływem przejść natury erotycznej, baron już zaczyna zaniedbywać interesy).

PANI NELLY. Miał pan baron jakie wiadomości z Egiptu? Podobno wylew Nilu opóźnia się w tym roku?

BARON. Bardzo. Od tygodnia cały Egipt powinien już być pod wodą. Jestem zaniepokojony.

PANI NELLY. Ja sędzę, że pan baron niepotrzebnie się niepokoi. Przecież Nil musi wylać.

BARONOWA. Ja to samo powtarzam mężowi.

BARON. Ale opóźnienie jest niedobre.

BARONOWA. Napijesz się herbaty?

BARON. Dziękuję.

Chwila ciszy. Na twarzy barona maluje się wyraz znudzenia i przygnębienia.

BARONOWA. Swoją drogą pomyśl Nelly, coby to było, gdyby Nil nie wylał. Nieurodzaj, głód, nędza, klęska dla całego kraju.

PANI NELLY. Straszne. Ale do tego chyba przecież nie dojdzie?

BARON. Miejmy nadzieję.

PANI NELLY. Chociaż... teraz tyle jest katastrof na świecie.

BARON. Skutki każdej katastrofy można zażegnać pracą i wzmożoną energią. Niech mi pani wierzy, że na świecie jest jedna katastrofa... nieuczciwość ludzka, niewypełnianie obowiązku, którego się ktoś podjął — bez względu na to, czy to jest mężczyzna, czy kobieta!

PANI NELLY. Najzupełniej się z panem baronem zgadzam.

BARON. Ja mówię: »Egipt chce, aby każdy spełniał swój obowiązek«.

PANI NELLY. Prześliczna dewiza.

BARON. Czy pani myśli, że wielu jest takich, co go spełniają. Nawet... nawet przyjemnych obowiązków nie chcą spełniać.

BARONOWA. Tyś to powiedział w Algeciras, prawda?

BARON. Tak.

PANI NELLY. Pan baron brał udział w konferencji?

BARON. Urzędowego udziału nie brałem, ale... ale... *(z tajemniczym uśmiechem)* Mieszkałem w tym samym hotelu.

PANI NELLY. Rozumiem.

BARON *(uśmiecha się zadowolony)*. Z pani by była dyplomatka pierwszej wody.

PANI NELLY. Niestety, w oficjalnej dyplomacji kobiety nie wywalczyły sobie jeszcze stanowisk. Ale ja się zasiaduję, a już dawno winnam być w domu. Dowidzenia, droga Julu!

BARONOWA *(do barona, który chce odprowadzić panią Nelly)*. Zostań, my mamy swoje tajemnice.

BARON. Będę dyskretny.

PANI NELLY. Adieu.

W parę godzin później. Wielki salon, sąsiadujący z prywatnym gabinetem barona. Boczniemi drzwiami wchodzi Józef. W jednej ręce trzyma tackę, w drugiej książkę. Idąc czyta i stopniowo zwalnia kroku, wreszcie zatrzymuje się pośrodku salonu, zagłębiając się w czytaniu.

W tej samej chwili do salonu wchodzi ze swego gabinetu baron. Spostrzegłszy Józefa, staje jak wryty.

BARON. Co to jest? Co to ma znaczyć?

JÓZEF *(wyprostowuje się, szybkim ruchem chowa za plecy tackę, wyciąga do Barona książkę)*. Proszę jaśnie pana barona, pan sekretarz konsulatu kazał mi w tej chwili oddać tę depezę.

BARON. Ty pijany jesteś *(wrywa Józefowi książkę i rzuca na podłogę)*.

JÓZEF. Nie... nie... to ta depeza!

BARON *(otwiera depezę, promienny uśmiech rozjaśnia mu twarz)*. Nil wylał!

II. KONSULAT EGIPSKI

Kancelarya konsulatu egipskiego. Duży, ministerjalnie urządzony gabinet. Wielkie dębowe biurko, zarzucone papierami. Na ścianie obok drzwi duża mapa Egiptu. W rogu pokoju stół nakryty draperyą egipską — na nim wśród czterech doniczkowych palm odlewy Sfinksa i piramidy.

Biuro konsulatu łączy się z prywatnym apartamentem barona Putiphara de Putyfarowskiego. Dla interesantów jest oddzielne wejście przez obszerną poczekalnię, w której w pewnych godzinach dnia (od 11-ej do 1-ej) urzęduje Józef.

Interesantów niema. Józef rozparty w fotelu, wczytuje się w dzieło prof. Szczytnickiego.

Bocznymi drzwiami z prywatnego apartamentu wchodzi do biura panna Emilia, pokojówka. Wysoka, brzydka, bardzo stylowa.

Panna Emilia przygląda się Józefowi, który jest tak zaczytany, że na wejście jej nie zwrócił uwagi — po chwili z tajemniczym uśmiechem zbliża się do stolika w rogu pokoju, z trudem zdejmuje odlew Sfinksa i ustawia na podłodze.

PANNA EMILIA. Mógłby też pan Józef pomódz mi tego Sfinksa z powrotem na miejsce ustawić.

JÓZEF (*nie odrywając się od czytania*). W tej chwili, panno Emilio.

PANNA EMILIA (*po chwili*). No, idzie pan, czy pan nie idzie?

Józef chowa książkę do kieszeni, wchodzi do pokoju i ustawia Sfinksa.

PANNA EMILIA. Z panem to się teraz dogadać wcale nie można. Oczy pan straci od tego czytania.

JÓZEF. Panno Emilio, to taka ciekawa książka.

PANNA EMILIA (*mierzy Józefa pogardliwym spojrzeniem*). Wie pan, że wszystko lubię, tylko nie lubię, jak mężczyzna udaje niewiniątko.

JÓZEF. ? ? ?

PANNA EMILIA. Niech pan nie robi takiej zdziwionej miny... Pan to ma coś takiego denerwującego w sobie, że czasami aż ręka świerzbi poprostu. O, nie, z takim człowiekiem jak pan, to jabym już tam za żadne skarby świata żyć nie chciała... Nie!

JÓZEF. Pani się gniewa na mnie?

PANNA EMILIA (*z pogardliwym wzruszeniem ramion*). Na pana? (*po chwili*). Fałszywymi ludźmi można tylko pogardzać.

JÓZEF. A cóż ja takiego fałszywego zrobiłem?

PANNA EMILIA. Myślałby kto, że pana to czytanie naprawdę zajmuje.

JÓZEF. Panno Emilio!...

PANNA EMILIA. Cicho!

Chwila ciszy.

PANNA EMILIA. Więc cóż pan zaczął mówić?...

JÓZEF. Ja... nic. Panna Emilia nie dała mi dojść do słowa.

PANNA EMILIA. Ja panu nie dałam dojść do słowa... Jeszcze raz panu powiem, że pana to czytanie wcale nie zajmuje. Tak pan czyta, żeby się przypodobać.

JÓZEF. Ja? Panna Emilia mnie o taką fałszywość posądza?

PANNA EMILIA. Ja mam oczy... widzę. Żeby kto inny taką sztukę urządził, jak pan, z tym telegramem, toby go już dawno u nas nie było.

JÓZEF. Pan baron mi przebaczył, bo Nil wylał.

PANNA EMILIA. Nil wylał! Niech mi pan już tu tylko z polityką nie wyjeżdża!... Ciekawa jestem, jakby to wszystko wyglądało bez sympatii pani baronowej. Ale jeśli pan Józef myśli, że tej sympatii na długo starczy, to się pan także grubo myli. Ja już tu różnych widywałam, przystojniejszych od pana Józefa... Był Wiktor,

był Antoni, był Władysław, było dwóch Janów, był Ludwik, był jeszcze jeden Antoni — widzi pan, przez półtrzecia roku, jak tu sama jestem. I co, żaden miejsca nie zagrażał...

JÓZEF. Widocznie źle spełniali obowiązek.

PANNA EMILIA (*z furią*). A pan dobrze będzie spełniał! (*zamierza się, jakby chciała go uderzyć*).

JÓZEF (*odskakując*). Panno Emilio... (*po chwili obrażonym tonem*) Tylko ręki proszę nie podnosić. (*po chwili*) Pani mię o mało nie obraziła czynnie i ja nie wiem, o co pani chodzi...

PANNA EMILIA (*przygląda mu się niedowierzająco, po chwili*). Pan jest albo bardzo podły, albo bardzo głupi.

JÓZEF. Panna Emilia za dużo sobie już dziś pozwala.

PANNA EMILIA. I pan może z czystym sumieniem zaprzec się w oczy, że pan nie jest kochankiem baronowej?

JÓZEF. Ja?! (*po chwili tonem najwyższego zdumienia*) A pannie Emilii skąd to do głowy przyszło?

PANNA EMILIA. To pan nie wie, poco się u nas służy?

JÓZEF. Jakto poco?

PANNA EMILIA. Panie Józefie, jeżeli pan to mówi przez fałszywość...

JÓZEF. Ale cóż mnie panna Emilia wciąż o jakąś fałszywość posądza. Jakkajuczciwsze słowo honoru daję, że mówię szczerze.

PANNA EMILIA. No to niech się pan dowie... U nas każdy służący musi mieć romans ze starą.

JÓZEF. Panno Emilio, to jest oszczerstwo. Ja przecież nieraz słyszę w salonie, jak pani baronowa rozmawia z panem profesorem Szczytnickim. Pani baronowa jest bardzo uduchowiona osoba.

PANNA EMILIA. I pan temu wierzy, co oni tam gadają. Wstydziłby się pan, doprawdy. Wyrosło chłopisko i takie to jakieś ni z pierza ni z mięsa. (*Chwyta Józefa za ręce*) Co to za łapska!

JÓZEF (*usuwa się, surowym tonem*). Nie, nie panno Emilio.

PANNA EMILIA. Od baronowej toby pan tak nie odskoczył.

JÓZEF. Panno Emilio, od każdej kobiety bym tak odskoczył.

PANNA EMILIA (*przygląda się Józefowi badawczo, po chwili*). Wie pan, że tego to się już nie spodziewałam po panu. Ja z panem szczerze, życzliwie rozmawiam, a pan sobie kpi ze mnie... (*z nagłym wybuchem*) To jest podłość!...

JÓZEF. Panno Emilio, ja sobie wcale z pani nie kpię... Słowo honoru pani daję... Ja panią

bardzo lubię... tylko ja nie mogę, dopóki się tej całej duchowej wiedzy nie nauczę...

PANNA EMILIA. A to poco się pan takich głupich nauk uczy?

JÓZEF. Panno Emilio, to wcale nie jest głupia nauka... To jest najmądrzejsza nauka na świecie.

PANNA EMILIA. Ale co panu z niej przyjdzie?

JÓZEF. Jakto co? Mało to ja się nędzy w życiu najadłem? Z pewnością od dzieciństwa było mi gorzej, niż pannie Emilii.

PANNA EMILIA. Pan Józef był sierota?

JÓZEF. Nas było dwanaścioro.

PANNA EMILIA. O jej!

JÓZEF. Łatwo mieć jedenastu braci.

PANNA EMILIA. Ee... nie tak łatwo.

JÓZEF. Ale jak każdy gorszy dla człowieka od psa, to co?... Panna Emilia myśli, że ja miałem choć tyle od nich... (*symboliczny gest, ilustrujący nicosć zapomocą przytknięcia palca do paznokcia drugiego palca*). Po śmierci rodziców, to mnie wypędzili poprostu! Powiedzieli... przepraszam pannę Emilię, że ja takich wyrazów używam, powiedzieli »Idź, szczeniaku, na złamanie karku, won!« I tam w podwórku u nas to była taka stara studnia, co w niej woda wyschła, to mnie jeszcze do tej studni wrzucili.

PANNA EMILIA. To pan Józef mógł się utopić.

JÓZEF. Żeby była woda, tobym się był utopił napewno!

PANNA EMILIA (*po chwili*). Ale pan dał sobie i bez nich radę. Ma pan teraz dobre miejsce.

JÓZEF. Co mi po miejscu! Ja wcale nie chcę służyć.

PANNA EMILIA. Ha... to dlatego pan się tak uczy?...

JÓZEF. Przecież nadarmo niktby się niczego nie uczył.

PANNA EMILIA. A jak się pan tej całej duchowej wiedzy nauczy, to już pan nie będzie służył?

JÓZEF. Spodziewam się, że nie.

PANNA EMILIA. A co pan będzie robił?

JÓZEF. Nic. Inni będą za mnie robili. Bo widzi panna Emilia, ja będę miał taką siłę woli, że jak na kogo spojrzę tylko, to będzie mnie musiał odrazu usłuchać. Tak, tak, ja nie żartuję, słowo honoru pannie Emilii daję. Bo w powietrzu to jest takie drugie niewidzialne powietrze i to się nazywa prana. To jest niby siła po indyjsku, bo to indyanie wymyślili to wszystko. Więc trzeba tylko bardzo porządne życie prowadzić: ani kobiet, ani wódki, nic, i codziennie tę pranę głęboko w siebie wdychać, to jak się tego dużo w człowieku czyli niby w organizmie nazbiera,

to ma człowiek potem taką siłę, że wszystko, co zamyśli, musi mu się udać i nad wszystkim może przewodzić.

PANNA EMILIA. I to długo tak trzeba?

JÓZEF. Co?

PANNA EMILIA. A to... porządne życie?

JÓZEF. Z parę lat. I wie panna Emilia, jak się ma taką siłę w sobie, to się wcale nie choruje.

PANNA EMILIA. Jakto, a jak się człowiek przeziębi?

JÓZEF. Mówi sobie: »Nie przeziębitem się i koniec«. Niech panna Emilia posłucha kiedy, jak to profesor Szczytnicki w salonie opowiada.

PANNA EMILIA *(po chwili)*. No, ale potem, po paru latach, jakby pan Józef przypuścmy chciał się ożenić, to już można?

JÓZEF. Jak się ma taką siłę, to już wszystko można. Wtedy człowiek jest mag.

PANNA EMILIA. Kto taki?

JÓZEF. Mag. Jakżeby to pannie Emilii popularnie wytłomaczyć. No, krótko mówiąc, fakir.

PANNA EMILIA. A jak to trzeba oddychać?

JÓZEF. Chce panna Emilia? Ja pannę Emilię nauczę... Niech pani stanie prosto... Tak *(ustawia ją w odpowiedniej pozycji)* Niech pani teraz wciągnie powietrze w siebie... Teraz parę sekund

zatrzymać... Jeszcze... jeszcze... *(Panna Emilia czerwienieje, oczy zachodzą jej łzami)* A teraz powoli... powoli... U... u... u... Jak parę razy tak odetchnąć, to odrazu człowiek robi się wytrzymalszy na wszystko.

Panna Emilia na razie nie może mówić, nie zniechęca jej to jednak do dalszych prób.

JÓZEF. A co?

PANNA EMILIA. Panie Józefie, jakbyśmy się tak oboje wyuczyl?

JÓZEF. Niech się panna Emilia uczy... Jeszcze raz... Tylko prosto się trzymać. *(Panna Emilia wypręża się jak struna)*. Ręce wzdłuż ciała... No i teraz w siebie, w siebie... wciągać powietrze nosem...

Miłe te i pożyteczne ćwiczenia psychofizyczne przerywa niespodziewane wejście barona. Spozrzegłszy Józefa i pannę Emilię nadętych aż do pęknięcia nieomal, baron zatrzymuje się w progu oszołomiony.

BARON. Oni powaryowali!

JÓZEF. Proszę jaśnie pana barona...

BARON. Milczeć... *(do panny Emilii)* Odejdź! *(Panna Emilia wymyka się przerażona)*.

BARON *(mierzy Józefa pełnem obrzydzenia spojrzeniem, po chwili)*. Raz ci przebaczyłem, a ty znów, zamiast siedzieć w poczekalni i przyjmować interesantów, romansujesz tu z pokojówkami!

JÓZEF. Proszę jaśnie pana barona, nigdy w życiu nie romansowałem.

BARON (*przygląda mu się zdziwiony, po chwili ironicznie*). Żadna cię nie chciała?

JÓZEF. Nie dlatego, proszę jaśnie pana barona.

BARON. A dlaczego?

JÓZEF. Bo z tego tylko wszystko zło idzie.

BARON. No... no...

Wbiega Otton Słucki, sekretarz konsulatu. Młodzieniec niewypowiedzianie wytworny. Bajecznie skrojony żakiet, fantazyjna kamizelka koloru, który może być żółty z różowym odcieniem, czy też różowy z żółtym odcieniem. Twarz oczywiście starannie wygolona, cera dobrana dyskretnie do koloru kamizelki i getrów.

SŁUCKI (*spoglądając na zegarek, umieszczony w srebrnej bransolecie*). Pan konsul już w biurze. Najmocniej przepraszam, że się tak dziś spóźniłem.

Baron odpowiada gestem, oznaczającym połażliwe przebaczenie.

SŁUCKI (*zbliża się do biurka, poczynając przerzucać papiery*). Kazałem wywiesić z balkonów flagi.

BARON. A co to dzisiaj?

SŁUCKI (*zdumiony zapytaniem barona*). Imieniny księcia Nekao.

BARON. Aa... (*po chwili*) Wie pan, że to wcale niegłupi chłopak.

SŁUCKI. Książę Nekao?

BARON. Nie... nasz Józef.

SŁUCKI. Józef studjuje obecnie dzieła profesora Szczytnickiego.

BARON. Wiem, wiem... (*po chwili*) Czy pan był na odczycie Szczytnickiego?

SŁUCKI. Byłem.

BARON. Właściwie o co temu Szczytnickiemu chodzi?

SŁUCKI. Ja na całym odczycie nie byłem. I przyznam się panu baronowi, że nie bardzo słuchałem tego, co mówił. Mojem zdaniem Szczytnicki nie jest zupełnie normalny człowiek.

BARON. Tak...

SŁUCKI. On chce... jakby to powiedzieć duchowego odrodzenia społeczeństwa.

BARON. Duchowego odrodzenia... Wie pan, że to wcale nie jest takie głupie... wcale nie głupie... Nasze społeczeństwo jest strasznie zepsute... zwłaszcza kobiety...

Dzwonek telefonu.

SŁUCKI (*przy aparacie*). Sekretarz konsulatu egipskiego... A, moje uszanowanie panu prezesowi...

BARON (*ze zniechęceniem*). Prezes... (*podchodzi*

do telefonu) Witam kochanego prezesa... Za chwilę u pana będę... *(coraz bardziej znudzonym tonem)* Tak... tak... Ja myślę, że to leży w interesach syndykatu... Rzeczywiście, niezupełnie dobrze się czuję... Nie możnaby odłożyć?... Ha, skoro nie można, to przyjadę... *(odkłada słuchawkę, do Słuckiego)* Że też bezemnie oni się nigdy obejść nie mogą... *(spogląda na zegarek)* Muszę jechać... *(do Słuckiego)* Niech mi pan referuje tylko najważniejsze sprawy.

SŁUCKI *(przerzuca papiery, po chwili)*. Od Eugenii Wójcik, wdowy chorej, obciążonej sześciorciem dzieci, wpłynęła prośba o wsparcie.

BARON. Wiecznie to samo. Konsulat nie jest biurem wsparć.

SŁUCKI. Ale ona podaje jako przyczynę, że jej mąż zmarł na egipskie zapalenie oczu.

BARON. Dwadzieścia pięć rubli. Co więcej?

SŁUCKI *(po chwili ze smutkiem)*. To już wszystko, panie baronie.

BARON. Dzięki Bogu.

SŁUCKI *(mierzy barona zdumionym spojrzeniem, po chwili)*. Pan baron jest dziś znudzony.

BARON. Znużony, zniechęcony.

SŁUCKI. Pan baron zniechęcony... Doprawdy, trudno mi w to uwierzyć.

BARON *(melancholijnie)*. Dlaczego?

SŁUCKI. Pan, który jest wzorem nieustraszonej energii, zapału, wiecznej gotowości do poświęcania się dla dobra publicznego.

BARON. Tak, ale czy warto jest wogóle dla kogokolwiek się poświęcać. Czy może mi pan choć jeden przykład w życiu wskazać, aby czyjeś poświęcenie było naprawdę ocenione?... *(po chwili)* Dziwi pana mój pesymizm?

SŁUCKI. Rzeczywiście. Pan baron był zawsze raczej wrogiem pesymizmu.

BARON. Tak, ale przekonałem się, że natura ludzka jest z gruntu nieuczciwa.

Słucki wyciąga z kieszeni elegancki notes i zaczyna pośpiesznie coś pisać.

BARON *(po chwili)*. Co pan tam pisze?

SŁUCKI *(jakby zawstydzony)*. Nic... nic...

BARON *(dobrotliwie)*. Niechże pan nie zapisuje wszystkich moich powiedzeń. Pewno pan układa w tajemnicy jakieś »Pamiętniki sekretarza konsulatu«, czy coś w tym rodzaju. To jest wada was wszystkich młodych attachés. *(po chwili)* Ja jestem teraz zniechęcony, rozczarowany, ale tego zapisywać nie potrzeba. To rzecz osobista.

SŁUCKI. Pan baron może zbyt wiele pracował ostatnimi czasy?

BARON *(patrzy badawczo na Słuckiego, po chwili)*. Spotkał mię bardzo przykry zawód.

Dzwonek telefonu. Baron porusza się niespokojnie na krześle.

SŁUCKI (*przy aparacie*). Sekretarz konsulatu... A, moje uszanowanie panu prezesowi... (*do barona*) Pan prezes Maibaum prosi pana barona do telefonu.

BARON. Niech pan powie, że ja w konsulacie zajmuje się tylko sprawami konsulatu.

SŁUCKI. Konsul jest w tej chwili bardzo zajęty... zadzwoni sam za chwilę... Moje uszanowanie panu prezesowi... (*odwracając się do barona*) Zdaje mi się, że słyszał...

BARON (*macha lekceważąco ręką, znów przygląda się przez chwilę badawczo Słuckiemu*). Spotkał mię bardzo przykry zawód. (*po chwili*) Czy pan miewał zawody w życiu?

SŁUCKI. Najrozmaitsze.

BARON. Mnie nie chodzi o najrozmaitsze, tylko... (*urywa, po chwili*) Czy zdarzyło się panu kiedy mieć stosunek z kobietą młodą, piękną, inteligentną, niezepsutą, któraby bardzo była do pana przywiązana, no, powiedzmy, kochała pana do szaleństwa, i naraz pewnego pięknego poranku zapomniała i o uczuciu i o wszystkich względach dla jakiegoś tam... durnia.

SŁUCKI. Nie, panie baronie.

BARON (*ozieble*). A, to żałuję.

SŁUCKI. To jest ja zdradzany bywałem, ale... przez... pospolite kobiety.

BARON (*posepnie*). Wszystkie kobiety są jednakowe, wszystkie... Niech mi pan wierzy. (*po chwili*) Wie pan, co panu powiem? — Mnie kobiety obrzydły... (*po chwili*) Wszystko mi obrzydło...

Siedzi ponuro zamysłony. Słucki przygląda mu się z pod oka. Chwila ciszy.

Wchodzi Marusia.

MARUSIA. Dzień dobry, papo, dzień dobry panu... Może mi papa dziesięć minut czasu poświęcić?

BARON. O co ci chodzi?

MARUSIA (*po chwilowem wahaniu*). Papo, tu dziś do papy zgłosi się prawdopodobnie profesor Szczytnicki.

BARON. Aa...

MARUSIA. Niech się papa do niego nie upredza.

BARON. Ależ ja wcale nie jestem do niego upredzony. Przed chwilą właśnie rozmawialiśmy o nim z panem Ottonem. (*Marusia dziękuje Słuckiemu uśmiechem*) To podobno dość ciekawy człowiek.

MARUSIA. Genialny człowiek!

BARON (*śmieje się*). Nie przesądzajmy, nie przesądzajmy. Ale o cóż ci chodzi?

MARUSIA. Papo, on chce pismo założyć.

BARON. Bardzo pięknie.

MARUSIA. Mówił, że program ideowy ma już wytknięty do najdrobniejszych szczegółów.

BARON. No...

MARUSIA. Ale są jeszcze pewne materyalne przeszkody do usunięcia.

BARON. To czemuż ich nie usunie?

MARUSIA. Bo... bo niema pieniędzy...

BARON. Aa...

MARUSIA. Papo, tu o takie niewielkie sumy chodzi... Niech mu papa dopomoże.

BARON (*po chwili*). W każdym razie musiałbym dokładniej wiedzieć, co to ma być za pismo...

MARUSIA. On papie opowie.

BARON. Dobrze, niech się zgłosi.

MARUSIA. Papa zgodzi go się przyjąć... Mnie właśnie o to tylko chodziło. Dziękuję (*do Słuckiego*) I panu dziękuję.

SŁUCKI (*śmieje się*). A za co mnie?

MARUSIA. Taka jestem uradowana, że wszystkim bym dziękowała.

BARON. Powiedz więc twojemu protegowanemu, że się może do mnie zgłosić... A teraz

IV. NIEMIŁA HISTORIA

zostaw nas samych, bo mam jeszcze z panem Ottonem parę spraw do załatwienia.

MARUSIA. Jeszcze raz dziękuję (*wybiega*).

SŁUCKI (*stając w urzędowej pozycji*). Słucham pana barona.

BARON (*po dłuższej chwili milczenia*). No, a cóżby pan w takiej sytuacji zrobił?

SŁUCKI. W jakiej, panie baronie?

BARON. Jakby panu wszystko obrzydło?

SŁUCKI (*po namyśle, z wahaniem*). Szukałbym ukojenia w sztuce, w literaturze...

BARON (*po namyśle*). Wie pan, że to wcale nie jest takie głupie.

SŁUCKI. Gładstone na odpoczynek czytywał zawsze klasyków greckich.

BARON. Wie pan, że pan mi zupełnie szczęśliwą myśl podał. Przecież ja mam bibliotekę, złożoną z paru tysięcy tomów. Dziś mam jechać do prezesa, ale od jutra zamykam się codziennie na dwie godziny i czytam... (*po chwili*) Albo wie pan co... prezes miał mi tam pewne rzeczy zakomunikować... Niech pan jedzie do niego i niech on to panu opowie... Powtórzy mi pan potem... Ja dziś wcale nie mam głowy do interesów... Powie mu pan, że jestem niezdrów...

SŁUCKI (*z wahaniem*). Panie baronie, czy to będzie dobrze?

BARON. Ja mam do pana zupełne zaufanie... Doprawdy, z tem czytaniem, to pan mi bardzo szczęśliwą myśl poddał... Nareszcie będę mógł czemś umysł rozerwać (*wychodzi*).

Słucki patrzy za baronem z ironicznym uśmiechem. Po chwili dzwoni. Józef ukazuje się we drzwiach.

SŁUCKI. Są jacy interesanci?

JÓZEF. Czterech.

SŁUCKI. W jakiej sprawie?

JÓZEF. Po prośbie.

SŁUCKI. Wyrzucić.

III. SUKCESYA PO GENI

Gabinet w pierwszorzędnej restauracyi. (Opis szczegółowy wkraczałby w granice reklamy). Towarzystwo z pięciu osób: Baron Putiphara de Putyfarowski, Słucki, panna Iza Norwid (pseudonim sceniczny, właściwe nazwisko Kugelman) trzydziestoletnia, wysoka, szczupła blondyna, pan Ludwik Koszycki, przemysłowiec, pan Władysław Piórkowski, eks-obywatel ziemski, zajmujący się po stracie majątku »interesami«. Wytworknie łysy, sygnet na palcu, górna kieszonka kolorowej kamizelki wypchana papierosami.

Po kolacyi.

Towarzystwo podzieliło się na dwie grupy. Baron i Słucki emablują pannę Izę. (Osoba ze wszechmiar interesująca. Wybitny talent dramatyczny, uroda, dystynkcya — słowem wszystkie warunki na pierwszorzędną aktorkę, a mimo to od czasu ukończenia szkoły dramatycznej — przed jedenastu laty — nie może się dostać na scenę. Przyczyny tego fenomenalnego zjawiska szukać należy w jej wysoce uczciwym trybie życia i nieumiejętności robienia

intryg. Od lat ośmiu panna Iza żyje w małżeńskim, aczkolwiek niepoświęconym związku z panem Ludwikiem Koszyckim).

Koszycki, odciągawszy Piórkowskiego w głąb gabinetu pod okno, rozmawia z nim szeptem.

KOSZYCKI (*pięćdziesięcioletni mężczyzna, starannie uczerniony*). Drogi panie Władziu, przecież my blisko żyjemy, przed panem nie potrzebuję robić sekretów. Ja życia nie mam z tą kobietą... Awanturnica, histeryczka, dyabli wiedzą co... I to już ośm lat się ciągnie, ośm lat... Ja się rozchorowałem, postarzałem, humor straciłem... Pan mnie przed ośmiu laty nie znał jeszcze, ale ci, co mnie znali, mogą panu opowiedzieć... Przecież ja byłem najweselszy człowiek w Warszawie...

PIÓRKOWSKI. Zdaje mi się, że Iza wpadła baronowi w oko.

KOSZYCKI (*spogląda bystro na Piórkowskiego, jakgdyby chcąc z wyrazu jego twarzy wyczytać, czy to zapewnienie nie jest tylko czczą, konwencjonalną pociechą*). Doprawdy?

PIÓRKOWSKI. Niech pan spojrzy, jak się do niej przysunął.

KOSZYCKI. To ona się do niego przysunęła. (*po chwili*) Gdyby tak Iza chciała mnie porzucić,

a baron się nią zaopiekował... Panie Władziu, pan jest taki sprytny człowiek, gdyby pan na to jako wpłynął... jabym panu do śmierci był wdzięczny...

PIÓRKOWSKI (*z melancholijnie ironicznym uśmiechem*). Cóż ja mogę.

KOSZYCKI. Poddać myśl, zasuggestyonować, suggestya w takich razach dużo znaczy... (*po chwili*) Spojrzyj pan na barona, przecież on jak kolek siedzi, ani gęby nie otworzy... (*z bolesnym wyrzutem w głosie*) I pan mówi, że Iza mu wpadła w oko.

PIÓRKOWSKI. Nie otrząsnął się jeszcze po tem onegdajszem przejściu.

KOSZYCKI. Z kim go ta Genia zdradziła?

PIÓRKOWSKI. Z jakimś aktorem prowincjonalnym.

KOSZYCKI. Mnie także Iza zawsze zdradza z jakimiś aktorami ostatniego rządu.

PIÓRKOWSKI. Niechże się pan raz na energię zdobędzie i zerwie.

KOSZYCKI. To dziwne. Przecież ja jestem bardzo energiczny człowiek. I odważny. Podczas strajków wchodziłem sam między robotników, w tłum, odgrażali się, że mnie zabiją, myśli pan, żem sobie z tego co robił?... Nic... Naprawdę się nie bałem. Krzyczałem na nich zgóry, ostro...

To im imponowało. A z Izą nie potrafię dać sobie rady... Zawsze mnie przekrzyczy... Wiodocznie na to, żeby z kobietami dawać sobie radę, potrzeba jakiejś innej specjalnej energii... *(po chwili)* Żeby też Bóg natchnął tego barona i żeby mu się Iza podobała.

PIÓRKOWSKI. Najgorsze jest...

KOSZYCKI. Co ?

PIÓRKOWSKI. Pan ma opinię tak energicznego człowieka, że to może źle wpłynąć na barona.

KOSZYCKI. Jako źle wpłynąć ?

PIÓRKOWSKI. Ano — będzie się obawiał wejść panu w drogę.

KOSZYCKI. Hm...

PIÓRKOWSKI. Nawet od ludzi, którzy nie znają pana osobiście, nieraz zdarzało mi się słyszeć zdanie, że z panem zadrzeć byłoby bardzo niebezpiecznie.

KOSZYCKI. Wie pan, że to jest fatalne. Ale czyż pan przypuszcza, że z barona taki tchórz?

PANNA IZA. Piórkowski, cóż wy tam tak spiskujecie w kącie. Pewno panu Lolek jakimiś interesami głowę zawraca. *(do Koszyckiego zgorzonym i znudzonym tonem)* Mógłbyś sobie na rozmowy o interesach inne chwile wybierać.

KOSZYCKI. Ależ, Izo, my nie rozmawiamy o interesach *(zbliżają się do stołu)*.

PIÓRKOWSKI *(do barona)*. Czy pan konsul nie zauważył, jak panna Iza podobna jest z profilu do Modrzejowskiej ?

BARON *(pośpiesznie)*. Nie zauważyłem.

Na twarzy Koszyckiego, który po tem zapytaniu bystro spojrział na barona, odmalowuje się wyraz rozczarowania.

PIÓRKOWSKI. Ale napewno, niech pan baron spojrzy.

Baron patrzy.

PIÓRKOWSKI. Nieprawda ?

BARON. Może.

SŁUCKI. Mojem zdaniem panna Iza przypomina którąś z wielkich artystek, ale nie Modrzejowską.

KOSZYCKI. Ale my nic nie pijemy... *(chce nalewać wino baronowi)*.

BARON. Dziękuję... ja już nie będę pił.

KOSZYCKI. Dlaczego ?

BARON. Późno już, trzeba będzie do domu wracać.

KOSZYCKI. Ale tak się rozkosznie bawimy, kto słyszał uciekać do domu! *(przemocą napelnia baronowi kieliszek)*.

PIÓRKOWSKI *(do panny Izy)*. Paniby powinna własny teatr założyć...

PANNA IZA. Ach, to jest moje marzenie!

SŁUCKI. Rejane i Sara Bernardt mają własne teatry... to jest chyba najwygodniej.

PANNA IZA. Za granicą niema takich intryg, jak u nas.

PIÓRKOWSKI. Najlepiej się od tych intryg uniezależnić... *(półgłosem, oddalivszy się z panną Izą o parę kroków od reszty towarzystwa)*. Niech pani pokokietuje barona. On mógłby pani pomódz do założenia teatru.

PANNA IZA. Cóż to za nieznośny dziad! Słyszałam zawsze, że nudny, ale pojęcia nie miałam, żeby człowiek mógł być aż tak nudny. Wcale się też jego Geni nie dziwię. Pan ją znał?

PIÓRKOWSKI. Trochę.

PANNA IZA. Bardzo sympatyczna dziewczyna. Tak mi jej szczerze było zawsze żal, że musi żyć z takim... bałwanem.

PIÓRKOWSKI. Umiała się pocieszać...

PANNA IZA. I bardzo dobrze robiła... *(z lekkim patosem w głosie)*. Wy to umiecie zawsze tylko potępiać. Żaden nie wniknie w duszę kobiety!

PIÓRKOWSKI. Ależ panno Izo, ja wcale Geni nie potępiam. Mogła być tylko trochę ostrożniejsza...

PANNA IZA. Dlaczego? Baron, jeżeli ją naprawdę kochał, powinien był być ostrożniejszy. Przyzwoity mężczyzna, szanujący kobietę, nie

naraża ją na kompromitację. Może zadzwonić, od tego są telefony, a nie wpadać niespodziewanie do mieszkania.

PIÓRKOWSKI. Zapewne, ale przy tych swoich wadach baron ma i wielkie zalety.

PANNA IZA. Jakie?

Piórkowski wskazuje na kieszeń.

PANNA IZA *(pogardliwie)*. Ee...

PIÓRKOWSKI. A ja pani radzę tej znajomości nie zaniebywać. Baron jest może nudny, ale jest w głębi duszy artysta. On mógłby pani naprawdę pomódz do założenia teatru. W takich razach pieniądze nie stanowią jeszcze o wszystkim. Trzeba wzajemnego artystycznego odczucia... *(urywa zrażony ironicznym uśmiechem panny Izy)*. Z czego się pani śmieje?

PANNA IZA *(wskazując oczami na Koszyckiego)*. To on panu kazał recytować tę lekcję...

KOSZYCKI. Panno Izo!

SŁUCKI *(zbliżając się do Piórkowskiego i panny Izy)*. Bardzo miły wieczór.

PANNA IZA. A rzeczywiście...

Cisza, nuda. Próby nawiązania ogólnej rozmowy, która się nie klei głównie z powodu zdecydowanie posępnego humoru barona. Koszycki rzuca pełne rozgoroczenia spojrzenie na barona, panna Iza

spogląda z wściekłością na Koszyckiego, baron patrzy bezmyślnie w sufit.

PANNA IZA (*opryskliwie do Koszyckiego*). Jedźmy do domu. Co to był za głupi pomysł tej kolacji... Jeszcze nigdy w życiu nie wynudziłam się tak, jak dzisiaj.

KOSZYCKI. Nie krzycz tak głośno.

PANNA IZA. Proszę cię, nie ucz mię, jak się mam zachowywać!...

BARON (*do panny Izy*). Bardzo mi miło było panią poznać. Zawdzięczamy pani naprawdę przyjemny wieczór.

W chwilę potem towarzystwo się rozstaje. Uściski dłoni, uśmiechy, ukłony. Baron i Słucki odjeżdżają powozem, panna Iza z Koszyckim dwukonną dorożką. Piórkowski z powodu ładnego wieczoru chce się przejść i wraca piechotą.

W powozie:

SŁUCKI (*po chwilowym milczeniu*). Bardzo miła osoba... Dystygowana, przystojna... Zwłaszcza podobał mi się rodzaj jej urody... Taki... niebanalny... Pan baron nie uważa?

BARON. Nie.

SŁUCKI (*po chwili*). A jednak... (*zmieniając ton*). Ale może pana barona nuży ta rozmowa?

BARON. — —

Chwila ciszy.

BARON. To nie jest życie...

SŁUCKI. Co?

BARON. Tego rodzaju życie, jakie ja dotychczas prowadziłem... Puste... czcze...

SŁUCKI. Ależ panie baronie...

BARON. Niech mi pan nie przerywa... Za dużo czasu poświęcamy kobietom, a to... to nie warto... (*po chwili uroczystym tonem*) Proszę pana, ja jestem rozczarowany...

W dorożce:

PANNA IZA (*do Koszyckiego*). Ty łotrze, czy ty myślisz, że ja nie przeczułam, co ta cała komedia miała znaczyć?

KOSZYCKI. Ależ, Izo!...

PANNA IZA. Chciałeś mnie się pozbyć... sprzedać mnie baronowi... Mnie, artystkę, tak sponiewierać, zbezczeszczyć... wszystkoś ze mnie wysał... talent, krew, młodość i teraz... teraz... Ha... Aa... Aa!!! (*początek spazmów*).

KOSZYCKI (*przerażonym, błagalnym tonem*). Izo... Izuniu, Izuchno!...

PANNA IZA. Ty...

Ryk syreny przejeżdżającego automobilu głuszy na szczęście resztę zdania.

Nazajutrz.

Apartament baronostwa Putiphara de Putyfarowskich. Mały salon. Przy stoliku siedzi baronowa z zafrasowaną miną. Wchodzi pani Nelly.

PANI NELLY. Zaniepokoił mię twoj dzisiejszy telefon.

BARONOWA. Ach, moja droga, taka jestem zdenerwowana...

PANI NELLY. To znać nawet po tobie... *(po chwili)* Domyślam się, że Pepi dostał się w jakieś złe ręce.

BARONOWA. Gorzej.

PANI NELLY. Nie rozumiem cię.

BARONOWA. Wyobraź sobie, że ani myśli o tem, aby sobie nową przyjaciółkę znaleźć. Jest apatyczny, do wszystkiego zniechęcony... Boję się, że moje przypuszczenie było niestety słuszne i że on się naprawdę w tej Geni kochał.

PANI NELLY. Ee...

BARONOWA. W tym wieku mężczyźni bywają uczuciowi.

PANI NELLY. Może poprostu nie miał jeszcze czasu na nawiązanie nowego stosunku.

BARONOWA. Nie znasz go. Przedtem, ile razy go zdradzano, był zdenerwowany, opryskliwy, zły, słowa niepodobna było z nim zamienić, ale w ciągu dwudziestu czterech godzin

musiał mieć już nową przyjaciółkę. To była nawet jego ambicya, żeby jaknajprędzej się pocieszyć... A teraz nie poznaję go poprostu... *(po chwilowym wahaniu)* Powiem ci szczerze... Słucki zaaranżował wczoraj kolację, na której była pewna osoba, aktorka, bardzo ładna, w typie mego męża... Były wszelkie dane, że się nią zajmie... I wiesz, co się stało, nietylko się nie zajął, ale powiedział Słuckiemu, że go wogóle dotychczasowe życie nudzi, że je uważa za czcze i puste...

PANI NELLY. Julu droga, zdaje mi się, że niepotrzebnie tak bardzo się tem przejmujesz. Ostatecznie, po... przykrości tego rodzaju pewne przygnębienie jest zrozumiałe. Przypuściwszy nawet, że Pepi naprawdę się w tej Geni kochał, no to za parę tygodni, czy za parę miesięcy uspokoi się i wróci do równowagi... A może się pogodzą...

BARONOWA. Wątpię, bo... podobno ona zakochała się naprawdę... *(po chwili)* Widzisz Nelly, żeby to w innym czasie wypadło, ach, tobym się tem nie przejmowała, ale teraz sytuacja jest wyjątkowa. Pepi musi mieć niesłuchanie wiele zimnej krwi, energii i przytomności umysłu. Ostatecznie ze sobą możemy mówić szczerze: wszyscy ci ludzie, z którymi on prowadzi interesy, to banda oszustów i złodziei. Wyzyskają

każdą chwilę jego słabości. A tu chodzi o miliony. Tylko trzeba działać szybko.

PANI NELLY. A czyż baron przestał się zupełnie zajmować interesami?

BARONOWA. Prawie. W najważniejszych sprawach wyręcza się Słuckim, a sam zamyka się w bibliotece i czyta.

PANI NELLY. To nie jest naturalne...

BARON (*wchodzi do salonu zgnębionym, ociężałym krokiem. Spozrzęglszy panią Nelly*). A, witam panią...

PANI NELLY. Winszuję, winszuję...

BARON. Czego?

PANI NELLY. Pomyślnych wiadomości z Egiptu.

BARON (*ożywiając się chwilowo*). Aa... Dziękuję pani. To jedno przynajmniej nie zawiodło.

PANI NELLY. Jakto to jedno? Już kto jak kto, ale pan chyba na zawody w życiu skarżyc się nie może... Wszystko się panu udaje...

BARON. Przychodzą chwile zniechęcenia.

PANI NELLY. Trzeba się z nich otrząsać... Egipt chce, aby każdy spełniał swój obowiązek!

BARON (*zelektryzowany*). Dziękuję pani... (*prostuje się, ale po chwili twarz jego przyjmuje wyraz poprzedniej apatyj*). Ze zniechęcenia łatwo się jest otrząsać, gdy ono wynika z osobistych pobudek,

moje zniechęcenie jednak ma tło ogólniejsze: przekonałem się, że natura ludzka jest z gruntu nieuczciwa... (*po chwili*) Trzeba nam odrodzenia.

PANI NELLY. To jest dewiza profesora Szczytnickiego.

BARON. Wie pani, że ja myślałem dziś o nim. Ostatecznie zdaje się, że to wcale nie głupi człowiek... Przyznam się, że zniechęcała mnie trochę do niego ta hałaśliwa reklama, jaką go otaczano... To głównie nasze panie... (*po chwili ze zgryźliwym uśmiechem*) Już jak kogo kobiety wezmą w swe ręce...

PANI NELLY. On teraz wiele zwolenniczek straci.

BARON. Dlaczego?

PANI NELLY. Napisał bardzo cierpki artykuł o kobietach... Zarzuca nam powierzchowność, zmysłowość...

BARON (*tonem milego zdziwienia*). Aa... I to ostro napisane?

PANI NELLY. Bardzo ostro. (*do baronowej*) Czytałaś, Julu?

BARONOWA (*daleka w tej chwili od teoretycznych rozmyślań nad psychologią kobiecą*). Nie.

BARON. Więc pani mówi, że kobiety będą na Szczytnickiego oburzone?

PANI NELLY. Pewna kategoria kobiet.

BARON (*uśmiecha się złośliwie, po chwili*).
Miałem rację, mówiąc, że ten Szczytnicki jest
niegłupi człowiek.

PANI NELLY. Panie baronie!

MARUSIA (*wchodzi do salonu i wita się z panią
Nelly*). O, dzień dobry pani... Nie wiedziałam, że
pani jest u nas.

PANI NELLY. Dzień dobry. (*do barona*) A to
ładnie... Jeszcze pan nie czytał artykułu Szczyt-
nickiego i już zgóry staje pan po jego stronie...
Odkądże to pan stał się takim wrogiem kobiet?

JÓZEF (*anonsuje*). Pan profesor Szczytnicki.

BARON (*wesoło*). Prosić... prosić... To ciekawe...
miałem ochotę bliżej go poznać i zjawia się...
Naprawdę, to jakiś niepospolity człowiek.

MARUSIA. Papa otrzymał jego odezwę?

BARON. Otrzymałem, otrzymałem... Ale nie
miałem czasu przeczytać... To on mi sam to
opowie.

*Profesor Szczytnicki wchodzi do salonu. Jest
bardzo silnie zakatarzony. Oczy ma zażawione
i podpuchnięte.*

PROF. SZCZYTNICKI (*zbołałym głosem*). Wi-
tam państwa!

BARON (*podbiegając ku niemu z wyciągnię-
temi rękami*). Bardzo mi miło widzieć profesora
u siebie.

PROF. SZCZYTNICKI. Panie baronie... (*kicha
gwałtownie i obciera chustką łzy z oczu*).

PANI NELLY. Pan się przeziębził...

PROF. SZCZYTNICKI. Nie... nie... Przeziębiać
się mogą tylko ludzie o niezahartowanej woli...
(*całym wysiłkiem zahartowanej woli powstrzymuje
kichanie*).

BARON. Słyszałem, że pan napisał ostry arty-
kuł o kobietach?

PROF. SZCZYTNICKI. Pan baron czytał
moją pracę?

BARON. Nie czytałem, ale mi opowiadano.

PROF. SZCZYTNICKI. Powiedziałem im
parę słów prawdy.

BARON. Trzeba im mówić słowa prawdy.
Bez ogródek. Pan dużo pisze?

PROF. SZCZYTNICKI. To, co ja piszę, tak
odbiega od utartych poglądów, że pisma bar-
dzo niechętnie zamieszczają moje artykuły.
A własnego jeszcze nie posiadam.

BARON. Podobno pan chce założyć?

PROF. SZCZYTNICKI. Pan baron otrzymał
zapewne moją odezwę? (*kicha*).

BARONOWA. Ależ pan naprawdę jest prze-
ziębiony. Powinienby się pan do łóżka położyć.

PROF. SZCZYTNICKI. Nie, nie, nie, pani ba-
ronowo.

BARON. Panu chodzi o odrodzenie społeczeństwa, wszak prawda?

PROF. SZCZYTNICKI. Podstawą mego programu ideowego jest dążność do oczyszczenia ducha ludzkiego z pod przewagi naleciałości materialnych. Uważam, że największym złem naszych czasów jest zmaterializowanie ludzkości, to znaczy przewaga pierwiastków cielesnych nad duchowymi. Stąd to rozpasania najniższych instynktów, jakie widzimy dookoła...

BARON. Ma pan rację.

PROF. SZCZYTNICKI. Zmysłowość...

BARON. O... zmysłowość! Widzę, że pan jest bardzo inteligentny człowiek, bo ja to samo mówię. Nic tak nie paczy charakterów, jak zmysłowość. Bardzo dobrze będzie, gdy pan zacznie o tem pisać. Oburzy pan na siebie kobiety, ale niech się pan tem nie krępuje... *(ze złośliwym uśmiechem, zacierając ręce)* Bardzo dobrze będzie, gdy się pozłoszczą. Ileby panu potrzeba było na takie pismo pieniędzy?

PROF. SZCZYTNICKI. — — —

BARON. Dwa, trzy tysiące?

PROF. SZCZYTNICKI. Cyfra trzy jest symbolem jedności i harmonii. Sądzę, że na opędzenie troski materialnej, z którą niestety każde

poczynanie ziemskie jest połączone, suma trzech tysięcy by wystarczyła.

BARON. Pozwoli pan, że ja napiszę pierwszy artykuł do pańskiego pisma. Krótki ale dobry... *(wyciąga książeczkę czekową, podpisuje czek i wręcza Szczytnickiemu).*

MARUSIA. Papo, jaki papa dobry!

PROF. SZCZYTNICKI. Panie baronie... *(kicha)* Panie baronie... *(kicha)* Wzruszenie nie pozwala mi wypowiedzieć tak, jakbym pragnął, słów mej wdzięczności. I to wzruszenie jest zrozumiałe. Szlachetnym obywatelskim swym czynem umocniłeś pan, panie baronie, niezachwianą moją wiarę w dobro poczynać, które obrałem sobie za cel życia...

Baron nie słucha tej pięknej przemowy. Błędym wzrokiem patrzy w przestrzeń.

PROF. SZCZYTNICKI. Przekonany jestem...

BARON *(przerywając Szczytnickiemu)*. Czy pan zna moją bibliotekę?

PROF. SZCZYTNICKI. Nie.

BARON. Ja mam bardzo piękną bibliotekę. Ponieważ pan chce wydawać pismo, to może to pana zaciekać. Chodźmy!

PROF. SZCZYTNICKI. Panie wybaczą.

BARONOWA. Niech się pan nie krępuje, niech się pan nie krępuje.

MARUSIA. Ja pójdę z panami.

Baron, Marusia i profesor Szczytnicki wychodzą.

BARONOWA (*chwytając panią Nelly nerwowo za rękę*). Widzisz... widzisz... (*podnosi chusteczkę do oczu*).

PANI NELLY. Julu!

BARONOWA. On zwaryował!

PANI NELLY. Ale co też ty mówisz!

BARONOWA. Ale zwaryował! Trzeba będzie po doktora zatelefonować. Przecież przed dwoma tygodniami nie chciał iść na odczyt Szczytnickiego, mówił, że byłoby marnotrawstwem wydawać pieniądze na bilety... a dziś... Ja tego Szczytnickiego zabronię tu wpuszczać.

PANI NELLY. Julu!

BARONOWA. Taka jestem zdenerwowana, że sama nie wiem, co mówię.

PANI NELLY. Przecież profesorowi sama chciałaś dopomódz.

BARONOWA. Ależ ma się rozumieć, bardzo się cieszę, że te pieniądze dostał, tylko... No, moja droga, tak jak znasz przecież mojego męża, powiedz, czy spodziewałabyś się tego po nim?

PANI NELLY (*po chwili*). Nie.

BARONOWA. Widzisz, widzisz... To nie jest naturalne... (*chwila pauzy*).

PANI NELLY. No, ja muszę uciekać... zresztą masz jakiś list pisać.

BARONOWA. Ach, list to głupstwo... Droga Nelly, ja cię nie zatrzymuję, bo jestem strasznie, strasznie wyczerpana... Ty pojęcia nie masz, co mnie kosztuje to stykanie się z pospolitością życia... Jakże ja chciałabym być daleka od tych wszystkich kochanek mego męża, interesów i drobnych codziennych zabiegów. Ach, zdaje mi się, że w takich chwilach dopiero rozumiem naprawdę Szczytnickiego! To życie dzisiejsze jest straszne. Wszystkim nam trzeba odrodzenia...

PANI NELLY. Biedaczko, ty jesteś taka zemocjonowana.

BARONOWA. Uspokoję się, uspokoję... tylko trzeba mi chwili zupełnej samotności, zapomnienia... Ty się na mnie nie gniewasz?

PANI NELLY. Ależ ja cię rozumiem najzupełniej... (*całują się*) Pamiętasz, jak to pięknie określił Szczytnicki: »Samotność jest kryształową kąpielą dla duszy«.

BARONOWA. Otóż to... tej kryształowej kąpieli potrzeba mi teraz. Muszę czemś uspokoić nerwy.

Po wyjściu pani Nelly baronowa zbliża się ku drzwiom wiodącym do sali bibliotecznej, zamyka je

na klucz, następnie dzwoni. Po chwili Józef wchodzi do pokoju. Ma na sobie palto.

JÓZEF. Jaśnie pani baronowa dzwoniła?

BARONOWA. A ty dokąd się wybierasz?

JÓZEF. Jaśnie pan baron kazał mi odnieść list.

BARONOWA. Do kogo?

JÓZEF. Do pana prezesa Majbauma.

Chwila ciszy. Baronowa wpatruje się w Józefa. Józef zmieszany tem spojrzeniem, które jest tak wymowne, że nie potrzeba doświadczenia ani zepsucia, aby je zrozumieć, spuszcza oczy.

BARONOWA. Czegoż ty tak spuszczasz oczy, musisz mieć nieczyste sumienie?

JÓZEF. Proszę jaśnie pani baronowej, ja podsłuchiwałem, ale teraz mogę przysiąc, że już mam zupełnie czyste sumienie.

BARONOWA. Kto ma czyste sumienie, ten powinien śmiało patrzeć w oczy... Czytasz różne książki i nie wiesz o tem?

JÓZEF. Wiem, proszę jaśnie pani baronowej.

Chwila ciszy. Baronowa przeciąga się leniwie w fotelu, ręce zakłada za tył głowy i znów mierzy Józefa przeciągłym spojrzeniem. Józef spuszcza oczy.

BARONOWA. Patrz mi prosto w oczy.

JÓZEF. Proszę jaśnie pani baronowej...

BARONOWA. Co?

JÓZEF. Pan baron kazał mi natychmiast odnieść ten list.

BARONOWA. Gdzie masz ten list?

JÓZEF. W pularesie.

BARONOWA. Pokaż.

Józef wyjmuje z bocznej kieszeni fraka stary zniszczony pulares.

BARONOWA. Pokaż no mi ten twój pulares... O, jaki wytarty.

JÓZEF. Ja już go bardzo dawno mam, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Możesz nie powtarzać za każdym razem proszę jaśnie pani baronowej. Kto ci go dał?

JÓZEF. Ja... na ulicy znalazłem, a że nie wiedziałem, komu go oddać, więc sobie wziąłem.

BARONOWA. Dostaniesz odemnie nowy, ładniejszy. Zegarek masz?

JÓZEF. Nie mam.

BARONOWA. I zegarek dostaniesz... Jesteś młody, przystojny chłopiec, powinieneś mieć wszystko nowe i ładne... *(wyciąga z pularesu list barona, czyta i mnie).*

JÓZEF. Proszę jaśnie pani baronowej!

BARONOWA. Cicho!

JÓZEF. Jaśnie pan baron będzie się mnie pytał, czy list oddałem...

BARONOWA. Powiesz, że ja wzięłam. Komu ty służysz?

JÓZEF. Jaśnie państwu baronostwu.

BARONOWA. Nie... ty mnie służysz... Ja jestem twoją panią, rozumiesz?

JÓZEF. Rozumiem.

BARONOWA. Nie krzycz tak, bo mnie głowa boli... Mów cicho. Przeczytałeś już tę książkę, co ci panienka dała?

JÓZEF (*szeptem*). Połowę, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Ach, tak to ja znów nic nie słyszę. Chodź bliżej... jeszcze bliżej... (*bierze Józefa za klapę fraka*) Co ty tam masz?

JÓZEF. To ta książka...

BARONOWA. Ach, to ty ją nosisz przy sobie?

JÓZEF. Bo jak mam chwilę wolnego czasu, to czytam.

BARONOWA. Daj no tę książkę... Pokaż mi, dokąd przeczytałeś... No, ale tak to ja nie widzę... Nachyl się... Teraz znów za nisko... Uklęknij...

Józef wyprostowuje się i zaczyna głęboko oddychać.

BARONOWA. Co to ma znaczyć? Mówiłam ci, żebyś ukląkł...

JÓZEF. Nie, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Jak ty śmiesz odpowiadać mi w ten sposób... Klękaj mi zaraz... Tu, przy mnie.

JÓZEF. Nie, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Czyś ty oszalał?

JÓZEF. Proszę jaśnie pani baronowej, mnie bardzo przykro, ale ja nie mogę całej kariery poświęcać.

BARONOWA (*parska śmiechem*). Ach, ty głupcze... No, klękaj, bo ci inaczej nie przebaczę.

JÓZEF. Nie, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA (*wstając z fotelu*). Co to ma znaczyć!

JÓZEF (*cofając się ku drzwiom*). Jaśnie pani baronowa mi daruje, ale ja wiem, o co jaśnie pani baronowej chodzi. Jaśnie pani baronowej to tam wszystko jedno, ale ja jestem biedny chłopiec, jak ja się tej całej duchowej wiedzy nie nauczę, to mnie nikt nic nie da... A jaśnie pani baronowa, żeby na tydzień mieć zabawkę...

BARONOWA. Precz!... I żebyś mi się na oczy więcej nie pokazywał!

JÓZEF. Ja odejść mogę, ale ja panu profesorowi opowiem.

BARONOWA. Aa!!

Chwila groźna. Baronowa czerwienieje, czerwienieje, czerwienieje... Zdaje się, że jeszcze moment, a padnie rażona atakiem apopleksyi. Na szczęście

jednak mocny i zdrowy organizm przewycięża wzruszenie.

BARONOWA (*odzyskując głos*). Precz... precz!...

Ten rozkaz Józef uprzedził, gdyż dawno już jest za drzwiami.

BARONOWA. A Iotr!...

I w tej chwili spostrzega, że został jej w ręce pulares Józefa. Błyskawicznie zdejmuje broszkę, wkłada do pularesu, rzuca pulares na podłogę obok biurka. Takie rzeczy robi się bez zastanowienia...

BARONOWA (*parskając krótkim jadowitym śmiechem*). Opowie profesorowi... A Iotr, cyniczny, beczelny Iotr!

SŁUCKI (*wchodząc do salonu*). Pan baron... (*urywa, spogląda zdumiony na baronową*) Pani baronowa jest tak zmieniona. Czy się co stało?

BARONOWA. Aa... proszę pana... Nie, to niemożliwe...

SŁUCKI. Co?

BARONOWA. Zgineła mi brylantowa broszka, ta, którą dostałam od księcia Nekao w Memfis... (*podchodzi ku drzwiom, wiodącym do sali bibliotecznej, ujmuje za klamkę i cofa się z wyrazem zdumienia i przestachu w oczach*) Kto te drzwi zamknął na klucz?

SŁUCKI (*podbiegając ku drzwiom*). Zamknięte... (*otwiera drzwi z klucza*).

BARONOWA. Gdzie mój mąż?

SŁUCKI. W bibliotece.

BARONOWA. A... to jest jeszcze i Szczytnicki?

SŁUCKI. Profesor Szczytnicki wyklada panu baronowi swój systemat filozoficzny...

BARONOWA (*otwierając drzwi*). Pepi... Pepi...

Wchodzi baron, Marusia i profesor Szczytnicki. Jedno spojrzenie im wystarczy. Wszyscy wiedzą odrazu, że stało się coś niepojętego.

BARON. Co się stało?

BARONOWA. Stało się coś niepojętego. Zgineła mi brylantowa broszka...

BARON. Ta od księcia Nekao?

BARONOWA. Tak.

MARUSIA. Mama miała ją na sobie...

BARONOWA. Miałam, odpięła mi się, położyłam ją na biurku... wyszłam na chwilę i za powrotem nie znalazłam. Ale zato te drzwi były zamknięte na klucz...

BARON. Złodziej jest w domu... Tego jeszcze brakowało!

MARUSIA. Może tu był kto w pokoju?

BARONOWA. Tylko Józef.

MARUSIA. To niemożliwe...

SŁUCKI. Ja widziałem Józefa, jak stąd wybiegał strasznie wzburzony, potrącił mnie tak, że o mało się nie przewróciłem.

BARON. Trzeba przeszukać, a jeśli się nie znajdzie, dać znać na policję.

MARUSIA. Nie, to napewno gdzieś upadło...
Panie Słucki, szukajmy... Mama na biurku położyła tę broszkę?

BARON. Tu coś leży... (*pochyla się i podnosi z ziemi swój list*) Ależ to mój list do Majbauma...
Co to znaczy?

SŁUCKI. A tu jakiś pulares...

MARUSIA. To pulares Jozefa.

SŁUCKI. Tu coś jest... (*otwiera pulares i wyjmuje broszkę baronowej*) Broszka!

Chwila nastrojowej ciszy.

BARON (*głosem nawykłym do rozkazywania*).
Panie Słucki, niech pan natychmiast telefonuje po policję!

PROF. SZCZYTNICKI. Przestępstwo musi być ukarane!...

U pani Nelly. Pokój w pierwszorzędnym pensjonacie. Po obu stronach drzwi, przez które dolatują odgłosy rozmów i sprzeczek w sąsiednich pokojach. Drzwi na korytarz, przez które dolatują odgłosy z korytarza. Dwa okna, przez które dolatuje hałas z ulicy.

Część mebli: szafa z lustrem, umywalnia, parę krzeseł, nowiuteńkie z jasnego drzewa w angielsko-hotelowym stylu. Pozatem stylowe francuskie łóżko, staroświeckie biurko, stary skórzany fotel, bardzo zniszczony. Na ścianach trofea myśliwskie, piękny sztych i ohydne malowidło w ordynarnie złożonych ramach, kupione gdzieś od przekupnia na ulicy. Ogólne wrażenie tego pomieszania epok i stylów nie jest może dodatnie, ale pouczające: wyobraża przetwarzanie się staropolskiego dworu wiejskiego w nowoczesny pensjonat. Węzłem łączącym dawne pojęcie komfortu (»to, co pani hrabina przywiozła ze wsi«) z nowym (»to, co dokupiono w Warszawie«) jest duży dywan z Pocijowa, zaścielający specjalnie w tym celu niemytą i niezamiataną część podłogi.

Godzina czwarta po południu. Pani Nelly siedzi w skórzanym fotelu z książką w ręce. Drzwi wiodące na korytarz, otwierają się gwałtownie, do pokoju wpada pokojówka, młoda przystojna dziewczyna, w czarnej sukni i białym czepku na głowie. I w tej chwili przypomina sobie, że znów weszła bez pukania... Momentalnie cofa się z powrotem, zatraskując drzwi za sobą z taką siłą, że aż szyby w oknach brzęczą. Bezpośrednio potem rozlega się delikatne pukanie do drzwi.

PANI NELLY. Proszę.

Pokojówka wchodzi, niosąc bilet wizytowy na tacce.

PANI NELLY. Trzeba pukać zawsze, jak się wchodzi do pokoju.

POKOJÓWKA *(ze szczerą skruchą w głosie)*. Ja zawsze pukam, ale czasem to się tak zapomni.

PANI NELLY *(sięga po bilet wizytowy. Jestto karta Słuckiego)*. Aa... Gdzie jest ten pan?

POKOJÓWKA. W stołowym pokoju.

PANI NELLY. Poproś do salonu.

POKOJÓWKA. Kiedy pani hrabina w salonie śpi...

Pani Nelly orientuje się w tej chwili dopiero, że wspólny salon do przyjmowania gości jest zarazem miejscem poobiednich drzemek pani hrabiny.

PANI NELLY. W stołowym pokoju wiecznie się ktoś kręci... Niepodobna rozmawiać...

POKOJÓWKA *(dobra, usługna dziewczyna)*. Najlepiej może tego pana do łazienki poprosić... Tam nikogo niema i cicho.

PANI NELLY. Poproś tu tego pana.

W chwilę potem wchodzi Słucki.

PANI NELLY. No i cóż?

SŁUCKI. Nic.

PANI NELLY. Nie chcą odwołać tej notatki?

SŁUCKI. Nie.

PANI NELLY. Cóż panu powiedzieli, czem to motywowali?

SŁUCKI. Właściwie wcale nie motywowali. Powiedzieli mi, że nie odwołają. To tacy jacyś gburowaci, źle wychowani ludzie w tej redakcyi.

PANI NELLY. Wobec tego ja jeszcze postaram się użyć swych wpływów.

SŁUCKI. Proszę pani, ja wątpię, czy się pani uda cokolwiek z tem pismem zrobić.

PANI NELLY *(urażona nieco tem zastrzeżeniem)*. Ja mam wpływy w dziennikarstwie dość duże. A zresztą niebo i piekło poruszę, żeby Juli przyjść z pomocą. Niech pan sam powie, czy to nie jest oburzające... Ośmielać się ciskać tego rodzaju oszczerstwa na kobietę i to na kobietę, zajmującą takie stanowisko w spo-

leczeństwie... To tylko u nas jest możliwe. Co za rozpasanie dzikich instynktów... Jakiś złodziej przyłapany na gorącym uczynku wymyśli sobie pierwszą lepszą bajkę i prasa to powtarza... Przecież takiego człowieka na ciężkie roboty skazać za mało!

SŁUCKI. No, Józef będzie skazany.

PANI NELLY. Ale ja nie mówię o Józefie, tylko o tym redaktorze.

SŁUCKI. To gbur... zupełnie źle wychowany człowiek.

PANI NELLY. Niegrzecznie pana przyjął?

SŁUCKI. No, nie, jabym się nie pozwolił niegrzecznie przyjąć, ale... gbur.

PANI NELLY. Zaraz, przez kogo jabym tu mogła na niego wpłynąć...

SŁUCKI. To będzie trudne, proszę pani.

PANI NELLY. Dlaczego?

SŁUCKI. To jest skomplikowana historia. On żyje w bardzo dobrych stosunkach z tym fabrykantem Koszyckim.

PANI NELLY. Więc cóż z tego?

SŁUCKI. A Koszycki ma żal do barona.

PANI NELLY. Żal?... Zdaje mi się, że baron żył z tym panem w dobrych stosunkach...

SŁUCKI. Tak, baron żył z nim w dobrych stosunkach, ale w ostatnich dniach właśnie to

się popsuło... I to z powodu tej przykrew historii, jaka barona spotkała... Wie pani, z Genią... Niezupełnie z tego powodu, ale pośrednio... Koszycki miał ogromną nadzieję, że mu baron odbije jego aktorkę... Wie pani, on już od siedmiu lat żyje z tą aktorką Norwid...

PANI NELLY. Nie widziałam jej nigdy na scenie.

SŁUCKI. Bo ona nigdy nie występowała... Otóż Koszycki sam nie ma jakoś energii, żeby z nią zerwać, więc czeka, żeby mu ją kto zabrał... Oczywiście ktoś bogaty, bo dla niezamożnego toby znów ta panna Norwid nie porzuciła Koszyckiego. On bardzo liczył na barona... Tembardziej, że ta panna Norwid jest zupełnie w typie barona. Wysoka, szczupła blondynka. Wszystkie przyjaciółki barona były wysokie, szczupłe blondynki. Oprócz tej ostatniej Geni.

PANI NELLY. Genia jest brunetką.

SŁUCKI. Brunetka, dość tęga... Gdy baron nawiązał z nią stosunek, to nawet dla wszystkich była zagadką ta zmiana upodobania.

PANI NELLY. Ale do czasu żyli w zgodzie.

SŁUCKI. Ee... nie... Ja barona codziennie przecież widuję i obserwuję... Przez cały ten okres, dwuletni prawie, strasznie był zdenerwowany. Moim zdaniem baron źle robił, że nie

trzymał się swego typu... Ja wątpię nawet, czy ona mu się podobała...

PANI NELLY. Nie żyłby z nią tak długo.

SŁUCKI. To była przyczyna głębsza. Baron utrzymywał zawsze, że ona ma wybitnie egipski typ twarzy...

PANI NELLY. I przez patryotyzm...

SŁUCKI. Tak... Moim zdaniem, to nawet bardzo ładny rys charakteru barona. Ale wracając do tego, com zaczął mówić. Otóż Koszycki, który podobno o niczem innym nie marzy, tylko o tem, żeby się od tej panny Norwid uwolnić, a sam nie potrafi tego zrobić, miał ogromną nadzieję, że mu ją baron odbije. Ale to ogromną... Przed paru dniami spotkaliśmy się w teatrze, potem pojechaliśmy na kolację... To nawet ja przygotowałem to spotkanie...

PANI NELLY. Pan?...

SŁUCKI. Tak. Baronowa mię prosiła... Na barona to osamotnienie tak źle wpływa...

PANI NELLY (*pośpiesznie*). Ma się rozumieć, ma się rozumieć...

SŁUCKI. I niech pani sobie wyobrazi, baron ani spojrział nawet na pannę Norwid. Nie wiem, czy przez cały wieczór parę słów z nią zamienił. Aż przykro było... Pani baronowa ma z tego powodu lekką pretensję do mnie, ale czyż to

moja wina... Ja się starałem jak najżyczliwiej... Z drugiej strony Koszyckiego tak zmartwił ten zawód, że jest teraz wściekły na barona. I mści się... Ręczę pani, że ta notatka, to była jego robota.

PANI NELLY. Co za nikczemne intrygi!

SŁUCKI. Straszne.

PANI NELLY. A ta panna Norwid ładna?

SŁUCKI. Jakby pani powiedzieć... Nie tyle ładna, co estetyczna... Moim zdaniem, dla barona byłaby bardzo odpowiednia, ale... (*po chwili*) W ciągu paru ostatnich dni baron zmienił się do niepoznania. I, wie pani, co na to wpłynęło?

PANI NELLY. Zerwanie z Genią.

SŁUCKI. Nie. To jest wpływ profesora Szczytnickiego. Dziś rano, na przykład, w konsulacie baron mówił do mnie, że życie należy pogłębiać...

PANI NELLY. Mówił to?

SŁUCKI. Powtarzam pani jego własne słowa. Dlatego, zdaje mi się, że on już nie będzie wogóle nowych przyjaciółek szukał...

PANI NELLY (*po dłuższem milczeniu*). Co pan o tem sądzi?

SŁUCKI. O tej ewolucyi duchowej konsula? Czy ja wiem...

PANI NELLY. I ja nie wiem właśnie. Dwóch zdań niema, że wpływ Szczytnickiego może być

tylko dobry. Ja sama należą do jego entuzjastycznych zwolenniczek... Ale czy dla barona byłoby to dobre... Doprawdy, nie wiem. To byłby tak radykalny przewrót w ich stosunkach domowych...

SŁUCKI. Pani baronowa bardzo jest zaniepokojona.

PANI NELLY. Wcale jej się nie dziwię. Biedna Julia... tyle przejść od razu zważyło jej się na głowę... A najgorsze to już te nikczemne plotki.

SŁUCKI. Prywatnie, to je po całej Warszawie rozpowiadają.

PANI NELLY. Tak... co mówią?

SŁUCKI. Że pani baronowa fałszywie oskarżyła Józefa... *(po chwili)* przez zemstę.

PANI NELLY. Taki śliczny chłopak i... ktoby się to spodziewał, że taki łotr...

SŁUCKI *(bez przekonania w głosie)*. Tak.

PANI NELLY *(obrzuca Słuckiego przelotnym spojrzeniem)*. Zresztą, nie chodzi o to, co Józef mówi, tylko, żeby inni tego nie powtarzali.

SŁUCKI. Najzupełniej się z panią zgadzam.

PANI NELLY. Przypuściwszy nawet, że... że... zaszło jakieś nieporozumienie, ostatecznie w życiu wszystko jest możliwe, to jestto prywatna sprawa między Julą i Józefem. Nie potrzebuję

pana zapewniać, że gdyby się okazało, iż Józef... padł ofiarą jakiegoś fatalnego zbiegu okoliczności, Julia nie omieszkaby go odpowiednio wynagrodzić. Julia unosi się czasami, no i jest może trochę nietaktowna w stosunkach ze służbą...

SŁUCKI *(z przekonaniem w głosie)*. Tak... tak...

PANI NELLY *(obrzuca Słuckiego szybkim przelotnym spojrzeniem)*. Proszę pana, a co pan tak zupełnie szczerze o tej całej sprawie sądzi?

SŁUCKI. Proszę pani...

PANI NELLY. — —

SŁUCKI. — —

PANI NELLY. Ostatecznie faktem jest jedno, że tym ohydny plotkom trzeba jak najprędzej kres położyć.

SŁUCKI. A wie pani, od kogo te wszystkie plotki wyszły, to jest kto najgłówniej przyczynił się do ich rozpowszechnienia? Panna Emilia.

PANI NELLY. Emilia?

SŁUCKI. Baronowa ją oddaliła.

PANI NELLY. Ach, i przez zemstę...

SŁUCKI. Nie, nie przez zemstę. Baronowa ją oddaliła, bo ona poprostu zrobiła skandal o Józefa... Dziś rano...

PANI NELLY. Ach, to dziś się stało... Próbowałam telefonować dziś parę razy do Juli, ale telefon był wciąż zajęty.

SŁUCKI. Emilia, jak z tego należy wnioskować, jest poprostu zakochana w tym Józefie.

PANI NELLY. Co za komplikacje!

SŁUCKI. U tego rodzaju natur prostych uczucie objawia się żywiołowo, więc i ona uroiwszy sobie, że Józef został niesłusznie oskarżony, z całą furją zaczęła go bronić. To ona pobiegła na skargę po redakcyach.

PANI NELLY. Ale, że jej słuchano!

SŁUCKI. Tam, gdzie mamy stosunki, wyrzucano ją za drzwi, trafiła jednak na świstek, polujący na skandale, no... i ci zamieścili.

PANI NELLY (*po chwili milczenia*). Wie pan, co mnie przychodzi na myśl... Możeby najlepiej było porozumieć się z Emilią. — — Ostatecznie, cóż to znaczy dla takiego człowieka, jak Józef posiedzieć trochę w więzieniu? Nic... W tej sferze to opinii nie psuje. A gdyby potem otrzymał jakąś sumę.

SŁUCKI. To jest myśl.

PANI NELLY. Muszę ją poddać Juli.

SŁUCKI (*z uznaniem*). Baronowa napewno bardzo się ucieszy. Pani ma genialne pomysły.

W pół godziny potem Słucki wraca do konsulatu. Zastaje w kancelaryi barona, który siedzi zamysłony przy biurku. Nie są to godziny biurowe,

ale od czasu zerwania z Genią, baron całe dni spędza w konsulacie. Ma tam kawalek »egipskiej ziemi« i najlepiej się czuje.

Na biurku wśród dokumentów dyplomatycznych leży dzieło profesora Szczytnickiego »O czystości i głębokiem oddychaniu«. Baron studyował je przed chwilą.

SŁUCKI (*wchodząc*). Moje uszanowanie panu baronowi.

BARON (*apatycznie*). A to pan... (*po chwili z lekkim ożywieniem w głosie*). Przeglądałem dzieło Szczytnickiego... Wie pan, że to wcale, wcale nie głupie. Czytał pan?

SŁUCKI. Jeszcze nie miałem czasu.

BARON. Koniecznie niech pan przeczyta. (*po chwili*) To zdaje się, nasz Józef studyował z zapałem.

SŁUCKI. Tak. On to podobno czytał.

BARON. Biedny chłopak.

SŁUCKI (*ze zdziwieniem*). Pan baron go żałuje?

BARON. Czy pan sądzi, że ja w to wierzę?

SŁUCKI. Któżby takim nikczemnym plotkom mógł wierzyć... Ja przed chwilą byłem w redakcyi tego świstka, który to oszczerstwo zamieścił. To oburzające. Nie chcą odwołać.

BARON (*z lekkim wyrzutem w głosie*). Panie Słucki, pan mię zawsze rozumiał, a dziś się nie

rozumiemy. Przecież ja nie Józefowi nie wierzę, tylko mojej żonie.

SŁUCKI. — —

BARON. Jestem przekonany, że Józef mówi prawdę. Został oskarżony niesłusznie przez zemstę. To jest moje przekonanie. Proszę pana, czy pan pamięta, żebym ja się kiedykolwiek omylił?

SŁUCKI. Nie.

BARON. Józef jest niewinny. I będzie cierpiał niewinnie. Ale na to proszę pana niema rady. To jest fatalizm. Wszyscy musimy się poddawać fatalizmowi życia. Niech pan sobie przypomni, ilu więźniów cierpiało niewinnie w Bastylii. Cierpieli, bo tego wymagała racja stanu. Tu zachodzi analogiczny wypadek... *(po chwili)* Zresztą pojęcia pan niema, jak mnie to wszystko nudzi.

SŁUCKI. Wierzę. Dla pana barona zajmować się tego rodzaju sprawami...

BARON. Nie, proszę pana, ja mam taki umysł, że mogę się zajmować wszystkim... Ale mnie to nudzi.

SŁUCKI. Poddano mi w tej chwili dobrą myśl.

BARON. Jaką?

SŁUCKI. Tym plotkom, ma się rozumieć nikt nie wierzy, ale bądź co bądź są one niepotrzebne. Otóż czy nie byłoby dobrze porozumieć się z Józefem. Dla człowieka takiego, jak on, z pro-

stej sfery, posiedzieć trochę w więzieniu nic nie znaczy. Dobrzeby było może, zaproponować mu pewną sumę, żeby nie upierał się przy swoim systemie obrony. Co pan baron o tym projekcie sądzi?

BARON. Głupi.

SŁUCKI *(po chwili)*. Tak... Być może... rozważywszy całą sprawę bliżej.

BARON. Któż to panu tę myśl poddał?

SŁUCKI. Pani Siewnicka.

BARON. Tak, to pomysł godzien jej i mojej żony.

SŁUCKI. A pan baron nie sądzi, że dobrze byłoby jednak tym plotkom zapobiedz?

BARON. Mnie to nudzi. Pojęcia pan niema, jak mnie od paru dni wszystko nudzi.

V. SIELANKA

Łazienki.

W jednej z ustronnych alei na ławce siedzą Józef i panna Emilia. Ciepły, wiosenny dzień. Józef świeżo wypuszczony z więzienia jest trochę błądy, ale ponieważ wiosna ładna, więc można żywić nadzieję, iż szybko »wróci do cery«. Panna Emilia rozpromieniona.

PANNA EMILIA. Jak cię zamknęli, to ja z dziesięć razy do tego Szczytnickiego latałam. Myślałam, że jak taki sprawiedliwy profesor, to się za tobą ujmie. Ale pokazało się, co on wart.

JÓZEF. Cóż ci mówił?

PANNA EMILIA. Nic. Wcale mię dopuścić do siebie nie chciał. Ten jego służący taki jakiś obdrapaniec, za każdym razem mi powtarzał: »Pana niema w domu, pana niema w domu«... Ażem w końcu zwymyślała jak psa...

JÓZEF. Chytry z niego człowiek.

PANNA EMILIA. Łajdak.

JÓZEF. Nie łajdak, tylko mądry. Zawsze lepiej z silniejszymi trzymać.

PANNA EMILIA. To ty go jeszcze bronisz?

JÓZEF. Nie bronię, ale i nie potępiam. On miał swój interes w tem, żeby się za mną nie ujmować... *(po chwili milczenia)* Ja jemu dużo zawdzięczam.

PANNA EMILIA. Ty jemu? Przez te jego książki do więzienia się dostałeś.

JÓZEF. Jakim sposobem?

PANNA EMILIA. No, bo żebyś się tam o tej czystości nie naczytał, tobyś się nie upierał przy swoim wtedy... jak cię baronowa... zawołała do salonu.

JÓZEF. A tybyś to wolała?

PANNA EMILIA *(nic nie odpowiada — w duszy jej toczy się najwidoczniej walka pomiędzy czystym uczuciem miłości, a praktycznym pojmowaniem życia — po chwili)*. Przynajmniej byś w więzieniu nie siedział. A tak zmarnowałeś się, pół roku życia straciłeś.

JÓZEF. Otóż ja ci powiem, że ja wcale tego nie żałuję, że w więzieniu siedział.

PANNA EMILIA. — —

JÓZEF. Nie tylko nie żałuję, alebym jeszcze podziękował baronowej, że mię wsadziła.

PANNA EMILIA *(wybuchła wesołym śmiechem)*. Właśnie, napisz list do niej z podziękowaniem.

JÓZEF. Listu nie będę pisał, ale ja mówię poważnie, nie żartuję.

Panna Emilia spogląda badawczo na Józefa. W oczach jej maluje się obawa o stan umysłu ukochanego.

JÓZEF. Ty teraz myślisz, że ja bziką dostałem. A ja teraz właśnie dopiero mam rozum. I wiesz gdzie go nabrał? W kryminale! Widzisz ja inteligentny byłem od urodzenia i garnąłem się do książek; gdzie się czego mogłem nauczyć tam się uczyłem, ale mi brakło, że tak powiem kierunku, rozumiesz — wytycznej myśli, to jest mówiąc poprostu, to wszystko nie trzymało się kupy... A w kryminale trafiłem na mądrych ludzi, co mnie nauczyli rozumu. Wiesz, tam raz opowiadali, że się zbierze komisya i że tych, co się dobrze sprawują, będą wcześniej uwalniali, to ja naumyślnie zrobiłem awanturę, żeby mnie tylko przypadkiem nie wypuścili wcześniej... tak mi żal było towarzystwa... to jest nie dla samej przyjemności tylko, ale ja czułem, że się kształcę, że mi się w głowie rozjaśnia.

PANNA EMILIA. Co też ty wygadujesz! Ładne mi towarzystwo... Sami złodzieje i oszuści.

JÓZEF *(zgorszony)*. Gadasz o kryminale, jak kucharka. Ani złodzieje, ani oszuści, tylko najprzyzwoitsi panowie... Ja tam dobrych manier

nabrałem, po francusku się poduczyłem, a już co się praktycznego rozumu tyczy, to na wołowej skórce by nie spisał. Wiesz, co ja teraz będę robił?

PANNA EMILIA. Właśnie nad tem trzebaby się zastanowić. Ja trochę uzbieranych pieniędzy mam, ale to nie na długo wystarczy.

JÓZEF. To się zaraz wyda.

PANNA EMILIA. Na co?

JÓZEF. Trzeba będzie wziąć mieszkanie... umeblować porządnie.

PANNA EMILIA. A z czego my będziemy żyli?

JÓZEF (*z tajemniczym uśmiechem*). Z klientów.

PANNA EMILIA. Z jakich klientów?... Mówże ty wyraźnie...

JÓZEF. Widzisz, ja tam poznałem jednego staruszka... Zaprzyjaźniliśmy się... A wiesz, dla czegośmy się zaprzyjaźnili?... Bo on był taki sam profesor od tajemnej wiedzy, jak Szczytnicki, tylko sto razy od Szczytnickiego mądrzejszy. A ponieważ ja czytałem książkę Szczytnickiego, więc mogłem z nim o tych rzeczach rozmawiać. Jego wszyscy nazywali »wujaszek Teofil«... Siwiuteńki jak gołąb, ale chytry... raz na człowieka spojrział i już wiedział o nim wszystko... A muszę ci jeszcze powiedzieć, że miał tylko jedno oko.

PANNA EMILIA. I tym jednym okiem tak wypatrywał?

JÓZEF. Tak. Powiadam ci, to było poprostu »épatant«. Otóż pierwszych dni, jak mnie zamknęli, byłem strasznie zrozpaczony... Zdawało mi się, że zwaryuję... Całymi dniami nic nie robiłem, tylko darłem włosy z głowy...

PANNA EMILIA. A tobie jakoś przerzedziały włosy.

JÓZEF (*odgarniając z fantazją czuprynę*). I, zdaje ci się. Na cztery takie głowy by jeszcze starczyło.

PANNA EMILIA. Ale mów o tamtem.

JÓZEF. Taki byłem zrozpaczony, że jużem się chciał wieszać...

PANNA EMILIA (*przerażona*). Nie może być.

JÓZEF. Nie krzycz... Widzisz przecie, że się nie powiesiłem. Lamentowałem tak przez całe cztery dni, dopóki nie zetknęliśmy się z wujaszkiem Teofilem. Zaczęliśmy rozmawiać o tem, o owem; jak się dowiedział, że się znam na okultyzmie, o mało mi się na szyję z radości nie rzucił. Wszystkieliby się spodziewał — mówił — tylko nie tego, żeby teozofa w kryminale spotkać. I od tej chwili byliśmy w serdecznej przyjaźni, wciąż ze sobą.

PANNA EMILIA. A on co robił?

JÓZEF. Siedział, tak samo, jak i ja.

PANNA EMILIA. Ale przedtem, na wolności?

JÓZEF. Ano, słuchaj, bo to właśnie najważniejsze. Nim go zamknęli, był chiromantą.

PANNA EMILIA. Taki, co z ręki wróży?

JÓZEF. Tak. Doskonale mu się wiodło... Hrabiny nie hrabiny, księżne nie księżne, wszystko karetami do niego zajeżdżało, byle im tylko wróżył... Po sześć tysięcy rubli zarabiał rocznie, a dziś miałby dwa razy tyle, żeby mu się noga nie była powinęła... No, ale zato ja się nauczyłem od niego chiromancyi.

PANNA EMILIA. Ty?

JÓZEF (*z dumą*). Tak.

PANNA EMILIA. I chcesz wróżyć?

JÓZEF. A ma się rozumieć... Pocóż bym się uczył inaczej... I to jeszcze tak się nauczyłem, że aż sam wujaszek Teofil się dziwił. Mówił mi, że ja powinienem być pierwszym chiromantą na całą Warszawę. On mnie do tego namówił, żeby się wziąć do chiromancyi.

PANNA EMILIA (*głosem, w którym bezwzględne uznanie dla ukochanego, miesza się jednak z pewnem powątpiewaniem co do praktyczności jego planów życiowych*). Józef, czy to aby będzie dobre?

JÓZEF. To będzie »épatant«.

PANNA EMILIA. Gadaj ze mną po polsku.

JÓZEF. Majątku się dorobimy. Oczywiście, trzeba tylko wszystko umiejętnie zaaranżować. Przedewszystkiem muszę się nazywać inaczej...

PANNA EMILIA. A jak się będziesz nazywał?

JÓZEF (*po retorycznej pauzie, z patosem*). Profesor Nostradamus.

To pięknie brzmiące nazwisko nie wywiera jednak na pannie Emilii oczekiwanego wrażenia. Patrzy na Józefa wzrokiem, w którym maluje się raczej niepokój, niż uznanie. Umysł jej, obracający się jak dotąd w sferze drobnych codziennych interesów, nie umie odczuć suggestywnej siły, jaka tkwi w samym dźwięku »Nostradamus«.

JÓZEF (*z akcentem lekkiego rozczarowania w głosie*). Ty się na tem nie znasz. To wujaszek Teofil poddał mi to nazwisko. To jest wspaniałe nazwisko. Pomyśl tylko »profesor Nostradamus chiromanta i czarnoksiężnik zagraniczny«... Jakby ci tak o kim powiedziano, nie poleciałaśbyś zaraz do niego, żeby ci wróżył?...

PANNA EMILIA (*bez przekonania*). Nazwisko ładne.

JÓZEF. Zobaczysz, jak się będą do nas tłoczyli. W chiromancyi to najważniejsza rzecz, żeby się ładnie nazwać... I mieszkanie dobrze urządzić... Kupi się sowę, kościotrupa...

PANNA EMILIA. Ja tam z kościotrupem nie będę mieszkała.

JÓZEF (*zniecierpliwiony*). Głupiaś. W oknach zawiesi się czarne zasłony, czarne portyery we drzwiach, żeby zupełnie ciemno było w pokoju. Tylko jak gość przyjdzie, to się trzy świece ustawi na stole... Trzech świec to się wielu boi, a to bardzo ważne, żeby się bali.

PANNA EMILIA (*blagalnym tonem*). Józef, nam nie starczy na to wszystko.

JÓZEF (*jakby go kto zimną wodą oblał*). Nie starczy...

PANNA EMILIA (*żałosnym tonem*). Nie starczy... Zresztą tak odrazu wszystkie pieniądze pakować... Potem, jak ludzie zaczną przychodzić, to co innego... Ale jabym była zatem, żeby na początek skromnie.

JÓZEF (*patetycznie*). Oh, małoduszności kobieca... Wiary, wiary, Emilio... Wiara góry przynosi!

PANNA EMILIA. W żaden interes nie pakuje się odrazu wszystkiego... (*po chwili*) A ten, co ci doradzał, ten wujaszek Teofil, na długo skazany?

JÓZEF. Na dziesięć lat.

PANNA EMILIA. Na dziesięć lat!

JÓZEF. To starowinka... On już nie wyjdzie

stamtąd. Umrze... (*po chwili*) A najciekawsze, że sam sobie to przepowiedział... Mówił mi, że jak miał dziesięć lat, to już wiedział, że w więzieniu skończy... (*po chwili, z melancholią w głosie*). Ba, żeby on był wolny, to we dwóch w rok dorobiliśmy się majątku... (*oddycha głęboko świeżem wiosennym powietrzem i rozgląda się po parku*) W taki dzień to wujaszek Teofil miałby tu uciechę. On zawsze powtarzał, że nic go tak nie radowało, jak widok świeżych zielonych listków na wiosnę...

Cisza. Świergot ptactwa

VI. KIELICH GORYCZY

Mały salon.

Baronowa i dawny, zaufany jej przyjaciel, mecenas Wołomiński. Mężczyzna pięćdziesięcioletni, średniego wzrostu, otyły, z dużymi siwiejącymi wąsami. Wszystkie włosy na głowie, zdrowa, czerwona twarz. Ubrany zaniedbanie, nawet brudno, ale za to szpilka w krawacie i pierścionki na palcach kosztowne i wytworne.

BARONOWA. Więc pan mówi, że to złe wrażenie wywiera?

WOŁOMIŃSKI. Ma się rozumieć, że musi złe wrażenie wywierać. Ludzie lubią plotki, a Warszawa przyzwyczaiła się do tego, że baron miał zawsze jakąś baletnicę na utrzymaniu. Przepraszam panią, że mówię tak szczerze.

BARONOWA. Ależ, mecenasie, my się dość dobrze chyba znamy. I tu chodzi o ważniejsze rzeczy, niż o wyrażenia.

WOŁOMIŃSKI. Otóż baron bez baletnicy razi wszystkich. Rozumie to pani...

BARONOWA. Rozumiem, bo...

WOŁOMIŃSKI. Bo co?

BARONOWA. Bo mnie samą nawet razi.

WOŁOMIŃSKI. Może więc pani sobie wyobrazić, jak to działa na obcych. Trudno. Skoro ktoś przez całe lata zażywał opinii rozpustnika, to takie nagłe przejście do cnoty musi się ludziom wydać podejrzanem. Tłomaczą to sobie...

Baronowa zakreśla palcem niewielkie kółko na czole.

WOŁOMIŃSKI. Właśnie.

BARONOWA. I mówią już o tem.

WOŁOMIŃSKI. Przebakują. Pepi ma wielu niechętnych. Ten fabrykant Koszycki... Zna go pani?

BARONOWA (*pośpiesznie*). Znam, znam...

WOŁOMIŃSKI. Zdaje mi się, że on dużo robi, aby poderwać opinię barona.

BARONOWA. Ale cóż on może mężowi zarzucić?

WOŁOMIŃSKI. Baronowo, zdaje sobie pani chyba sprawę, co to jest powiedzieć o człowieku stojącym na czele instytucyj finansowych »mistryk«!

BARONOWA (*zafrasowanym głosem*). Tak...

WOŁOMIŃSKI. Wolałbym już stokroć, żeby mi wszelkie możliwe nieuczciwości zarzucano.

BARONOWA. To to głupstwo. Koszycki się mści.

WOŁOMIŃSKI. Za co?

BARONOWA. Pan nie zna tej historii? Kiedy się otworzyła sukcesya po Geni, Koszycki uroił sobie, że Pepi odbije mu tę jakąś jego aktorkę...

WOŁOMIŃSKI. Której on się pozbyć nie może. Skądżeż mu to do głowy przyszło?

BARONOWA (*po chwilowem milczeniu*). Może jest w tem trochę mojej winy... Przyznam się panu szczerze, że ja sama myślałam o tej panie Izie. Namówiłam Słuckiego, żeby zaaranżował spotkanie... Ale...

WOŁOMIŃSKI. Jak pani mogła dopuścić do tego, żeby Szczytnicki tak zawojował konsula?

BARONOWA. Szczytnicki nie jest tak głupi człowiek, jak się panu zdaje. Ja mu teraz wiele zawdzięczam.

WOŁOMIŃSKI. No?

BARONOWA. Bo tylko przez niego mogę mieć wpływ na męża. Wie pan, że Pepi wciąż marzy o tem, żeby się zupełnie od interesów usunąć i oddać całkowicie ascezie.

WOŁOMIŃSKI. Gdy uregulujemy interesy...

BARONOWA. Ach, wtedy ma się rozumieć... Ale na razie toby było przedwcześnie.

WOŁOMIŃSKI (*po chwilowym namyśle*). Tak. Narazie toby było absolutnie przedwcześnie. Pepi cieszy się opinią najtęższej finansowej głowy w kraju. Firma jego jest konieczna. I tak te fatalne plotki już nam szkodzą.

BARONOWA. Koniecznie trzeba coś wymyśleć, aby je sparaliżować.

WOŁOMIŃSKI. Pani mówi, że Szczytnicki jest inteligentny człowiek?

BARONOWA. O ile, w ostatnich czasach zwłaszcza, mogłam to ocenić, to tak.

WOŁOMIŃSKI. Można z nim mówić szczerze?

BARONOWA. To to nie... On jest bardzo ostrożny, dba o zachowanie pozorów. Ale wszystko można mu dać do zrozumienia.

WOŁOMIŃSKI. O to chodzi. I mówi pani, że posiada tak wielki wpływ na męża.

BARONOWA. Jak teraz, to nieograniczony.

WOŁOMIŃSKI. Swoją drogą, źle, że do tego doszło. Gdzie oni się poznali?

BARONOWA. Szczytnicki bywał u nas.

WOŁOMIŃSKI (*tonem przyjacielskiego wyrzutu*). Dobra to rzecz filozofia, literatura, sztuka... ale widzi pani teraz, jak niepożądane owoce może wydać opiekowanie się filozofami i artystami... (*po chwili*) Szkoda, że mnie ta kuracja pół roku przeszło za granicą trzymała...

BARONOWA. Drogi mecenasie, pan tu zbyt wielką rolę przypisuje sugestyi Szczytnickiego. Mojem zdaniem, to jest poprostu... postępowy paraliż.

WOŁOMIŃSKI. Mówiła pani o tem z jakim lekarzem?

BARONOWA. Nie.

WOŁOMIŃSKI (*po chwilowem milczeniu*). W takich wypadkach to czy rozpocząć kurację parę miesięcy wcześniej, czy później, absolutnie nic już nie stanowi... A na razie rzeczywiście nie byłoby pożądanee...

BARONOWA. Plotki odrazu znalazłyby uzasadnienie...

WOŁOMIŃSKI. Tak.

BARONOWA. Może pan być pewien, że zajmę się jego kuracją energicznie. Wszystkie powagi europejskie się poruszy...

WOŁOMIŃSKI. Ależ, baronowo, nie potrzebuje mię pani o tem zapewniać. Znamy się dzięki Bogu od dzieci prawie... Rozumiem doskonale, co to jest konieczność życiowa.

BARONOWA. Więc wracajmy do Szczytnickiego. Wobec faktu, że Pepi wpadł w mistycyzm, wolę mieć ze Szczytnickim do czynienia, niż z jakimś ordynarnym szarlatanem. W gruncie

rzeczy, przy całej swej niezaprzeczonej inteligencji, Szczytnicki jest naiwny...

WOŁOMIŃSKI. Tak...

BARONOWA. Kto inny mógłby tę sytuację wyzyskiwać.

WOŁOMIŃSKI. Dobrze. Chce pani usłyszeć dobrej mojej rady?

BARONOWA. Zawsze.

WOŁOMIŃSKI. Pepi musi mieć kochankę.

BARONOWA. Ba, żeby go się dało w jakikolwiek sposób przekonać.

WOŁOMIŃSKI. Niech pani pomówi ze Szczytnickim.

BARONOWA. Ja już nieraz o tem myślałam... Ale ten Szczytnicki to mimo wszystko dziwny człowiek. Ja nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on jednak wierzy dość szczerze w tę całą swoją naukę. Robi mi ustępstwa w drobnych rzeczach, dzięki czemu Pepi zajmuje się interesami, ale boję się, że gdybym go o rzecz tego rodzaju prosiła, mógłby mi odmówić... Na punkcie tej czystości on ma poprostu obłąd.

WOŁOMIŃSKI. A jednak to trzeba w jakikolwiek sposób przeprowadzić. Zobaczysz pani, jak Pepi zyska odrazu na opinii z chwilą, gdy będą mogli przyczepić do niego nazwisko jakiegś baletnicy.

BARONOWA. Niech pan z nim pomówi.

WOŁOMIŃSKI. Ja go nie znam prawie wcale. Skoro wobec pani jest tak ostrożny, więc tembardziej wobec mnie dbałby o zachowanie pozorów.

BARONOWA. A możeby rozpuścić zęcnie plotkę, że Pepi żyje z jakąś baletnicą.

WOŁOMIŃSKI. Znajdą się odrazu przyjaciele, chociażby taki Koszycki, którzy to wyśledzą. *(po chwili)* Ale możnaby inaczej ująć sprawę. O co chodzi... Aby ludzie wiedzieli, że konsul zajmuje się jakąś baletnicą... Powiada pani, że trudnoby go było nakłonić do erotycznego stosunku... ale to może być stosunek idealny, coś à la Tolstoj... odrodzenie...

BARONOWA. Wie pan, że to genialna myśl!

WOŁOMIŃSKI. Byle u niej po południu przesiadywał. A to, co się będzie za zamkniętymi drzwiami działo jest już dla nas rzeczą obojętną.

BARONOWA. To jest plan, który musimy odrazu przeprowadzić. Dziękuję panu *(podaje Wołomińskiemu rękę)*.

WOŁOMIŃSKI *(wyciska na pulchnej dłoni baronowej hataśliwy pocałunek)*. Baronowo!

BARONOWA. Pan jest najgenialniejszy człowiek, jakiego znałam. Kochany, drogi mecenas...

WOŁOMIŃSKI. A przedewszystkiem skoro Pepi znów wejdzie w towarzystwo kobiece, może się pozwoli... odmistyczyć.

Ożywiającą się i dzięki Bogu weselszą już nieco rozmowę przerywa nerwowe pukanie do drzwi.

BARONOWA (ze zdziwieniem, odwracając głowę).
Proszę.

PROF. SZCZYTNICKI (uchylając drzwi). Można?

BARONOWA. Ależ, profesorze, dziwię się, że pan się o to pyta nawet... Panowie się znają.

PROF. SZCZYTNICKI (drżącym głosem).
Owszem, mam zaszczyt.

Baronowa i Wołomiński spoglądają ze zdumieniem na Szczytnickiego. Profesor jest błydy i do najwyższego stopnia wzburzony. Ręce drżą mu ze zdenerwowania.

BARONOWA. Profesorze, co się panu stało?

PROF. SZCZYTNICKI. Doprawdy, nie wiem, czem mam to sobie wytłomaczyć...

BARONOWA. Ale co... Może pan mówić zupełnie swobodnie. Mecenas jest moim przyjacielem od dzieciństwa. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

PROF. SZCZYTNICKI. Spotkała mię bardzo wielka, niczem nie uzasadniona przykrość.

BARONOWA. Ale kto ją panu wyrządził?

PROF. SZCZYTNICKI. Pan baron.

BARONOWA. Mój mąż?

PROF. SZCZYTNICKI. Tak... Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się, żeby ktośkolwiek w ten sposób do mnie przemawiał.

BARONOWA. Ale co panu powiedział?

PROF. SZCZYTNICKI. Trudno mi to nawet powtórzyć.

Wołomiński usuwa się dyskretnie z pokoju.

BARONOWA. Mecenasie, niechżeż pan nie ucieka.

WOŁOMIŃSKI. W tej chwili wracam. Nie witałem się jeszcze z konsulem. Mam mu parę słów do powiedzenia.

BARONOWA (po wyjściu Wołomińskiego).
Niechżeż się pan uspokoi, niech pan siada. Co panu mąż powiedział?

PROF. SZCZYTNICKI. Pan baron nazwał mię szarlatanem.

BARONOWA. Szarlatanem?

PROF. SZCZYTNICKI. Tak, szarlatanem. A muszę pani zwrócić uwagę, że było to jeszcze najłagodniejsze wyrażenie, jakiego użył. Sądzę, że pani baronowa nie ciekawa jest ostrzejszych.

BARONOWA. Ależ przeciwnie, chcę wiedzieć wszystko. Niech mi pan najdokładniej powtórzy całą rozmowę.

PROF. SZCZYTNICKI. Trudno to nazwać

rozmową, bo ja nic nie mówiłem. Tak byłem oszołomiony tem, co mię spotkało, że poprostu głosu z gardła wydobyć nie mogłem.

BARONOWA. A cóż mąż mówił?

PROF. SZCZYTNICKI. Mówię pani, nazwał mię oszustem, złodziejem, szarlatanem...

BARONOWA. Ależ to chyba jakieś nieporozumienie...

PROF. SZCZYTNICKI. Wątpię, aby baron wziął mnie za kogo innego.

BARONOWA. Ale on jest zdenerwowany, chory, łatwo się unosi. Przepraszam pana jak najserdeczniej za tę przykrość, jaka pana spotkała. Może być pan pewien, że mąż, ochłonawszy, sam pana przeprosi... O cóż to poszło?

PROF. SZCZYTNICKI. Pojąć nie mogę. Wszystko to się stało bez najmniejszego powodu. Ledwom przestąpił próg biblioteki, pan baron zerwał się z krzesła, rzucił się ku mnie i począł mię lżyć brutalnymi słowami. Sądzę, że padłem ofiarą jakiegoś oszczerstwa.

BARONOWA. Więc to się wyjaśni.

PROF. SZCZYTNICKI. Wypowiedzieć nie umiem, jak boleśnie to odczułem.

BARONOWA. Ależ najzupełniej pana rozumiem. Niech pan spocznie, poczeka chwilę, zaraz się z mężem rozmówię.

PROF. SZCZYTNICKI. Nie, pani baronowo, ja odejdę.

BARONOWA. Ale niechżeż pan tak do serca tego nie bierze. Pepi miewa czasami wybuchy. Ręczę panu, że pana przeprosi, a tymczasem ja pana jeszcze raz jak najserdeczniej przepraszam. Panie profesorze, pan taki wyrozumiały zawsze dla słabości ludzkich.

PROF. SZCZYTNICKI. Ponadto pan baron wymówił mi dom.

BARONOWA. Jakto wymówił dom?

PROF. SZCZYTNICKI. No, zabronił przychodzić...

BARONOWA. Ależ to wszystko się wyjaśni. Niech też się pan na mnie aby nie gniewa.

PROF. SZCZYTNICKI. Ja się i na pana barona nie gniewam, bo tego uczucia nie znam wcale, tylko boli mnie tak brutalna niesprawiedliwość. Pan baron uczynił mi również zarzut, że jestem przekupiony przez jego wrogów.

BARONOWA (*po chwili milczenia*). Panie profesorze, widzę, że pan jest strasznie wzburzony. Nie będę więc pana zatrzymywała na razie. Tembardziej, że lepiej i z wyjaśnieniami poczekać chwilę, aż się mąż uspokoi. Zaręczam panu, że przed wieczorem sam się zjawi u pana z przeproszeniem.

PROF. SZCZYTNICKI. Nie wymagam przeproszenia, tylko odwołania.

BARONOWA. To zadośćuczynienie będzie pan miał napewno.

PROF. SZCZYTNICKI. Żegnaj panią baronową.

BARONOWA. Dowidzenia, drogi profesorze, do wieczora.

Sama przeprowadza go przez całe mieszkanie aż do przedpokoju. We drzwiach:

BARONOWA. Więc niema pan do mnie żalu?

PROF. SZCZYTNICKI (*rozkliwiony serdecznością baronowej*). Ależ pani baronowo. Skądbym do pani mógł mieć żal..

BARONOWA. A reszta szybko się wyjaśni.

Pożegnawszy Szczytnickiego, baronowa wraca do małego salonu. Chwilę stoi zamyślona. Dzwoni.

W progu ukazuje się nowy służący, Konstanty. Jest monstrialnie brzydki. Po zajściu z Józefem wobec krążących plotek, baron postawił ultimatum: Służba mężka musi być monstrialnie brzydka. Baronowa, uznając dyplomatyczny takt męża, zgodziła się na ten warunek bez zastrzeżeń. Najjadowitsi oszczercy mają teraz zamknięte usta.

BARONOWA (*nie patrząc na Konstantego*). Czy pan Słucki jest w konsulacie?

KONSTANTY. Jest, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Poproś go tu do mnie.

KONSTANTY. Słucham jaśnie pani baronowej.

Chwila oczekiwania. Zmarszczone brwi baronowej świadczą o wytężonej pracy mózgu.

SŁUCKI. Pani baronowa mnie wzywała?

BARONOWA. Drogi panie, czy pan wie o tem zajściu?

SŁUCKI. Między konsulem a profesorem?

BARONOWA. Był pan świadkiem?

SŁUCKI. Prawie. Słyszałem całą scenę z sąsiedniego pokoju.

BARONOWA. Czemuż nie przyszedł mi pan zaraz powiedzieć?

SŁUCKI. Baron mię zatrzymał.

BARONOWA. Mąż mój robił Szczytnickiemu jakieś wyrzuty?

SŁUCKI. To jest poprostu zwymyślał. Przyznam się, że nigdy nie słyszałem, aby baron tak komuś wymyślał, jak dziś Szczytnickiemu.

BARONOWA. Ale o cóż mu poszło?

SŁUCKI. Pan baron niedowierza teraz nikomu. Dziś rano przyszedłszy do konsulatu, skarżył mi się, że jest otoczony przez płatnych szpiegów. Nie wiem, ale zdaje mi się, że i mnie

do tej kategorii zalicza, bo był bardzo oziębły dla mnie.

BARONOWA. On już dawniej podejrzewał wszystkich...

SŁUCKI. Tak, ale od paru dni to się wzmoгло. Teraz baron wierzy tylko Konstantemu. Ale właśnie miałem pani baronowej powiedzieć... Dziś rano słyszałem przypadkowo, że baron pytał się Konstantego, czy nie zna jakiego chiromanty...

BARONOWA. No i cóż?

SŁUCKI. Konstanty poradził mu jakiegoś profesora Nostradamusa.

BARONOWA. Nostradamus, Nostradamus... to nazwisko obito mi się już kiedyś o uszy...

SŁUCKI. Zdaje mi się, że on jest dość znany w Warszawie jako wróżbista.

BARONOWA. I mój mąż wybiera się do niego?

SŁUCKI. Polecił Konstantemu, aby mu tego Nostradamusa tu sprowadził.

BARONOWA. Adres pan wie?

SŁUCKI. Nie dosłyszałem, bo baron drzwi zamknął. Ale Konstanty mi powie.

BARONOWA. Trzeba się w tej chwili dowiedzieć. To było jeszcze przed awanturą ze Szczytnickim?

SŁUCKI. Przed. Ale pan baron już od paru dni bardzo był niechętnie do Szczytnickiego usposobiony.

BARONOWA. Co mówił?

SŁUCKI. Konsul podejrzewa, że profesor Szczytnicki jest przez panią przekupiony.

BARONOWA. Aa...

SŁUCKI. Dziś rano nawet wyraźnie mi to powiedział.

BARONOWA. A przedtem wspominał już panu o tem?

SŁUCKI. Półstówkami.

BARONOWA. Czemuż mi pan o tem nie mówił?

SŁUCKI. Nie przywiązywałem do tego wagi.

BARONOWA. Prosiłam pana, żeby mi pan mówił o wszystkim...

SŁUCKI. Najmocniej panią baronową przepraszam.

BARONOWA. Stało się. Panie Ottonie, niech pan tylko zaraz Konstantego wybada.

SŁUCKI. W tej chwili zawołam go do konsulatu.

BARONOWA. Wszystkie możliwe szczegóły o tym Nostradamusie... *(po chwili)* Nie mogę sobie przypomnieć, od kogo o nim słyszałam.

SŁUCKI. Toporski o nim mówił.

BARONOWA. Być może.

Wchodzi Wołomiński.

SŁUCKI. Moje uszanowanie. Jakże się pan mecenas miewa?

WOŁOMIŃSKI. Doskonale.

BARONOWA. Panie Ottonie, zbierze mi pan informacje?

SŁUCKI. Za dziesięć minut będę niemi pani baronowej służył... *(do Wołomińskiego)* Dowidzenia tymczasem.

WOŁOMIŃSKI. Dowidzenia.

BARONOWA. Jak pan tylko czegoś się dowie, niech pan zaraz do mnie przyjdzie.

SŁUCKI. W tej chwili. *(wychodzi)*.

WOŁOMIŃSKI. On ma manię prześladowczą.

BARONOWA. Tego tylko jeszcze brakowało.

WOŁOMIŃSKI. Wszystkich naokół podejrzewa, że go szpiegują.

BARONOWA. I panu to mówił?

WOŁOMIŃSKI. Tylko o tem rozmawialiśmy. Właściwie tylko o tem mówił, bo mnie nie dał przyjść do słowa. Strasznie jest podniecony.

BARONOWA. Czy pan nie słyszał takiego nazwiska Nostradamus?

WOŁOMIŃSKI. Wspaniałe nazwisko, ale nie słyszałem. Kto to?

BARONOWA. Chiromanta.

WOŁOMIŃSKI. Ja w sferach mistycznych stosunków nie mam. Upatrzyła go pani dla męża?

BARONOWA. To on sam sobie upatrzył. Mówił mi właśnie przed chwilą Słucki.

WOŁOMIŃSKI. Doskonale. Wie pani co o tym Nostradamusie?

BARONOWA. Jeszcze nie, ale będę wszystko wiedziała.

WOŁOMIŃSKI. Widzę, że pani jest zdenerwowana.

BARONOWA. No, bo taki świetny plan mi pan poddał i wszystko na nic.

WOŁOMIŃSKI. Przeciwnie. Kto wie, czy Pepi nie ułatwił nam go mimowoli. Ten jakiś pan Nostradamus jest sobie napewno zwykłym szarlatanem bez domieszki idealizmu... Łatwiej z nim będzie dojść do ładu. Pozatem lepiej, że Szczytnicki przestanie u państwa bywać.

BARONOWA. Sądzi pan?

WOŁOMIŃSKI. Radzę pani skorzystać ze sposobności. Szczytnicki jest za bardzo w mieście znany.

BARONOWA *(po chwilowym namyśle)*. Tak... ma pan słuszność.

WOŁOMIŃSKI. Tylko energicznie... No, a teraz muszę uciekać. Gdybym był pani na co potrzebny, każdej chwili jestem do rozporządzenia.

BARONOWA. Drogi, kochany mecenasie.

Odprowadza Wołomińskiego do przedpokoju. Wracając, spotyka w wielkim recepcyjnym salonie Marusię i Słuckiego, którzy rozmawiają z ożywieniem.

MARUSIA. Mamo, i cóż się zrobi?

BARONOWA. Cóż tu można zrobić?

MARUSIA. Szczytnicki taki rozżalony...

BARONOWA. Widziałas go?

MARUSIA. Spotkałam go na ulicy.

BARONOWA. Zapewne, że to niemiła historia, ale pocóż się ojcu narażał...

MARUSIA. Z tego, co on mi opowiadał, to papa zrobił mu tę całą scenę bez najmniejszego powodu.

BARONOWA. Dlatego wątpię, aby opowiadanie Szczytnickiego było ścisłe. Czyż ojciec robi kiedy komu sceny? Pan zresztą był świadkiem tej rozmowy...

SŁUCKI. Samego początku nie słyszałem.

BARONOWA. Ale jakżeż się panu zdaje? Czy możliwym jest, aby mój mąż bez przyczyny ni stąd ni zowąd wymówił komuś dom i to jeszcze w tak ostrych wyrazach...

SŁUCKI. Pan baron był dziś zdenerwowany.

BARONOWA. Ach, proszę pana, mąż mój umie panować nad zdenerwowaniem.

MARUSIA. W każdym razie trzeba będzie jakoś tę sprawę załagodzić.

BARONOWA. Ja już pana Szczytnickiego przeproszałam. Jeśli mu to nie wystarczy...

Wchodzi pani Nelly Siewnicka.

BARONOWA. Nareszcie... Wyczekuję cię od dwóch godzin.

PANI NELLY. Julu, co za sensacyjna nowina...

BARONOWA. No?

Wszyscy z zaciekawieniem zbliżają się do pani Nelly.

PANI NELLY. Wiecie, co wasz Józef robi?

MARUSIA. Już go wypuszczono podobno z więzienia.

PANI NELLY. Już dawno. Ale co robi teraz?

BARONOWA (*z gryźliwie*). Czekaj okazji, żeby się znów dostać.

PANI NELLY. Nie. Wyobraźcie sobie, że jest chiromantą. I w pewnych sferach na Powiślu nawet bardzo znanym.

SŁUCKI (*pośpiesznie*). Gdzie on mieszka?

PANI NELLY. Na Powiślu.

BARONOWA. Od kogóż wiesz to?

PANI NELLY. Od mojej służącej. I jaki pseudonim sobie obrał: Profesor Nostradamus.

BARONOWA. Aa... (*mdleje*).

Zamieszanie. Woda kolońska. Eliksięry. Sole. Flakony. Baronowa odzyskuje przytomność.

BARONOWA (*mdlejącym głosem do Słuckiego*).

Niech pan w tej chwili Konstantego zawoła!

SŁUCKI. Konstanty już tam właśnie poszedł.

BARONOWA. Poszedł, kiedy?

SŁUCKI. Z pół godziny temu. Pan baron przy mnie go wysłał.

BARONOWA. Czemuż pan nie przeszkodził?

SŁUCKI. Czyż ja mogłem przewidzieć?

BARONOWA. Dowiedział się pan adresu?

SŁUCKI. Dowiedziałem.

BARONOWA. Zaraz tam jadę. Muszę wypić do dna ten kielich goryczy.

VII. UŚMIECH LOSU

Salon w mieszkaniu Józefa. (Mieszkanie składa się z dwóch pokoi z kuchnią.) Urządzenie nie różniłoby się niczem od zwykłych małomieszczańskich wnętrz, gdyby nie czarne portyery przy drzwiach, czarne zsuwane firanki w oknach, oraz kościotrup nakryty prześcieradłem, który stoi w rogu pokoju na płaskim, drewnianem pudle. Akcesorya te, niebanalne, nadają mieszkaniu pewien mistyczny charakter.

Pana Józefa niema w domu. Właściwie nie pana Józefa, tylko profesora Nostradamusa, albowiem pod tym pięknym pseudonimem dawny służący baronostwa uprawia kunszt wróżenia bliźnim z kart, z ręki, z czego się zdarzy wreszcie... Powodzi mu się coraz lepiej, sława jego zatacza coraz szersze kręgi, ze sfer ludowych poczyną przenikać do inteligencji.

Towarzyszka życia Józefa, panna Emilia, bawi rozmową przyjaciółkę, która przyszła do niej z wizytą. Jest to pani Dudzińska, »manikurzystka« —

wyraz haniebny, ale ochędństwo polskie nie stworzyło jeszcze odpowiedniego terminu na oznaczenie czynności zawodowego pielęgnowania rąk — tembardziej nóg, więc aby określić wyczerpująco rodzaj pracy pani Dudzińskiej, trzeba użyć jeszcze jednego cudzoziemskiego wyrażenia — w razie potrzeby jest ona i »pedikurzystką«. Przeważnie jednak uprawia manikurę, a ponieważ Józef jest chiromantą, więc na tem tle pewnego pokrewieństwa bądź co bądź pracy, wytworzyła się wzajemna sympatya. Sympatya ta jest czysto intelektualna. Józef i pani Dudzińska cenią w sobie nawzajem zalety umysłu.

Wiek pani Dudzińskiej trudnoby było bliżej określić. Zresztą poco. Ubrana jest czarno, skromnie, dystygowanie.

Obie panie siedzą przy stole. Przy drzwiach stoi jakaś służąca, klientka profesora Nostradamusa.

PANNA EMILIA (do służącej). Niech panienka głowy nie zawraca. Za półtora rubla to może być pierścionek od choroby, ale nie od dozgonnej miłości. Ja nie rozumiem nawet, że panience nie wstyd się tak targować. Żeby to tak ten kawaler panienki usłyszał.

SŁUŻĄCA (po chwili). Na Krochmalnej to jest jedna wróżka, co za pięć złotych takie pierścionki sprzedaje.

PANNA EMILIA. Wróżka! Wynosić mi się stąd zaraz. Widzicie ją... Wróżka! Tu panienka nie jest u żadnej wróżki, tylko u pana profesora Nostradamusa, największego starożytnego czarnoksiężnika z zagranicy. Tu do nas różni państwo karetami przyjeżdżają, a takich jak panienka, tobyśmy wcale nie przyjmowali, tylko że pan profesor ma serce, jak ten gołąb perliste i właśnie biedni są u niego w umiłowaniu największem... (do pani Dudzińskiej, która siedzi z dyskretną miną osoby, nie chcącej słyszeć, co się przy niej mówi) Słyszysz pani? Wróżka!

Cóż można odpowiedzieć na tak bezsensowny wybryk? Pani Dudzińska wrzusza z politowaniem ramiionami.

PANNA EMILIA. Na co się czeka? Leć panna do swojej wróżki! Będzie panna chłopca widziała, jak mnie tu włosy wyrosną! (wskazuje na dłoń).

Służąca stoi chwilę niezdecydowana, następnie odwraca się gwałtownie i wychodzi, trzaskając drzwiami.

PANNA EMILIA (podbiega ku drzwiom). A drzwiami nie trzaskać... (wracając do stołu) Co to się trzeba z ludźmi naużerać... Pani w swoim zajęciu to przynajmniej takich przykrości niema!

PANI DUDZIŃSKA. Mam i ja swoje przykrości... mam.

PANNA EMILIA. Ale zawsze maniukiura to

lepsza od chiromancyi. Do pani to już przychodzą tylko osoby z wyższą inteligencją.

PANI DUDZIŃSKA. Kapitału trzeba... kapitału... Ba, żebym ja miała na to, żeby wziąć eleganckie mieszkanie, a machnąć po francusku szyld na pół bramy »Lęstitiu de bote«, to od razu i płaciliby mi inaczej.

PANNA EMILIA. To samo i u nas. Józef wciąż myśli o tem, żeby tu czarnym całunem obić ściany, wie pani takim, jak to się na trumny kładzie... ze srebrną ornamentacją, ale coby to na taki pokój materiału wyszło... Straszny koszt.

PANI DUDZIŃSKA. Koszt byłby, aleby się i opłaciło. W przedsiębiorstwie pierwsza rzecz, to urządzenie lokalu.

PANNA EMILIA. Z czasem może się zrobi. Teraz kościotrupa kupiliśmy. Pokazywałam pani? (*zbliża się do kościotrupa i ściąga prześcieradło*).

PANI DUDZIŃSKA. Ładny kościotrup.

PANNA EMILIA. Iniedrogi... (*owija kościotrupa*). Owijam to, żeby się nie kurzyło, a zresztą, przyznam się pani, że nieprzyjemnie patrzeć. Na noc to zamykam drzwi od naszego pokoju na klucz. Ale to potrzebne. Pani to jakby się zmówiła z Józefem, że w każdym przedsiębiorstwie, czy to będzie zwykłe, czy czarodziejskie, pierwsza rzecz to urządzenie lokalu. On to samo zawsze

powtarza. Teraz poszedł, bo wczoraj w Kuryerze było ogłoszenie, że gdzieś na Mokotowskiej jest okazynie wypchana sowa do sprzedania. Piszą, że w dobrym stanie.

PANI DUDZIŃSKA (*zdecydowanie zniechęcona do prasy*). To, co gazety piszą...

PANNA EMILIA. Niech się pani nie boi, Józef już tam tę sowę na wszystkie strony obejrzy.

PANI DUDZIŃSKA. A kot?

PANNA EMILIA (*zafrasowana nagle*). Nie znalazł się. Co to było za stworzenie! Taki już przyuczony... Jak Józef wróżył, to się kładł na stole, leżał tak spokojniutko i mruczał. Sam nie uciekł, bo przecież kot to się do miejsca przywiązuje. Ktoś go ukradł.

PANI DUDZIŃSKA. Pewno.

PANNA EMILIA. Bez tego kota, to teraz, jak bez ręki... (*grożąc w stronę drzwi*) A żeby ci się wściekł, złodzieju, i ślepią wydrapał.

PANI DUDZIŃSKA. Znajdzie sobie pani innego kota. Żeby to o wszystko w życiu było tak łatwo, jak o to... (*po chwili milczenia*) Pan Józef to jednak umie koło swoich interesów chodzić.

PANNA EMILIA. Jeszczeby też... Mało to się książek naczytał?

PANI DUDZIŃSKA. To, co tam w książkach piszą... Rozum trzeba mieć w głowie, przyro-

dzony rozum... Głupiemu to i książki nie pomogą. *(po chwili)* A panu Józefowi święcie się należy co prawda, żeby karierę w życiu zrobił. Po tem, co się nacierpiał.

PANNA EMILIA. I niesprawiedliwie!

PANI DUDZIŃSKA. Wiem, wiem...

PANNA EMILIA. Ale nie zginął! Ta, ta... wiedźma baronowa myślała, że jak go wsadzi do kryminału, to już i koniec z nim będzie. Przecież to krzty sumienia nie trzeba mieć, żeby fałszywie oskarżać człowieka za to, że nie chciał być jej kochankiem. *(po chwili)* Ale się przerachowała!

PANI DUDZIŃSKA. Pan Józef miał szczęście, że trafił na taką kobietę, jak pani. *(po dłuższej chwili milczenia)* A kiedyż ślub?

PANNA EMILIA *(prędko, jakby niezadowolona z pytania)*. Jutro dajemy na zapowiedzi.

PANI DUDZIŃSKA. Napewno?

PANNA EMILIA. Napewno. Co się pani tak o ten nasz ślub dopytuje?

PANI DUDZIŃSKA. Nie dopytuje się. Mało to jest szczęśliwych małżeństw, które wcale ślubów nie biorą?

PANNA EMILIA. My ślub weźmiemy... *(po chwili wybuchu nagłe)* Co pani myśli, że Józefby mnie zdradził? A jak siedział w więzieniu, to kto się nim opiekował, jak nie ja... A kto potem

mieszkanie wynajął? Kto na życie przez pierwszy czas dawał? Wszystkie oszczędności, jakie miałam, poszły. Ja jedna go nie odstąpiłam. *(chodzi wzburzona po pokoju)*. Ładnieby on bezemnie wyglądał! Niech pani posiedzi przez rok w kryminale, to się pani przekona, co to jest wyjść i nic nie mieć!

Pani Dudzińska nic nie odpowiada. Ale z wyrazu twarzy widać, że to porównanie nie podobało się jej.

PANNA EMILIA. Jak się pobierzemy, to się pobierzemy... to nasza rzecz! A pani, to jakby coś w tem miała, żeby mnie judzić przeciwko Józefowi.

PANI DUDZIŃSKA *(dystygowanym tonem)*. Pani to się tak odrazu unosi, że niepodobna z panią konwersacyi prowadzić.

PANNA EMILIA *(zdenerwowana nie zwraca na Dudzińską uwagi, po chwili takim tonem, jakby mówiła do siebie raczej, niż do Dudzińskiej)*. Jutro damy na zapowiedzi.

PANI DUDZIŃSKA. No, ja muszę uciekać.

PANNA EMILIA. O, już się pani obraziła.

PANI DUDZIŃSKA. Ależ nie.

PANNA EMILIA. To niech pani nie odchodzi jeszcze.

PANI DUDZIŃSKA. Muszę... klientka na mnie czeka.

PANNA EMILIA (*rzucając niespokojne spojrzenie na kościotrupa*). Spóźni się pani troszeczkę... niech pani nie odchodzi... zaraz Józef wróci.

PANI DUDZIŃSKA. Kiedy doprawdy powiadam pani, że muszę.

PANNA EMILIA (*znów niespokojnie spogląda na kościotrupa*). No, dwie minuty... Dopóki Józef nie nadejdzie... jemu bardzo przykro będzie, że się nie mógł z panią przywitać.

PANI DUDZIŃSKA. Kiedyindziej się przywitamy.

PANNA EMILIA. Moja droga pani, pani się na mnie obraziła, ale ja tak czasem coś zgorąca powiem.

PANI DUDZIŃSKA. O, temperamencik to pani ma.

PANNA EMILIA (*przemocą sadzając ją z powrotem na krzesło*). Niech pani posiedzi... moja złota pani... Ja, jak sama w mieszkaniu jestem, to mi się zaraz zdaje, że się coś rusza.

Słychać głośnie pukanie do drzwi.

PANNA EMILIA (*przerażona, zasłaniając twarz rękami*). Och!

PANI DUDZIŃSKA. Ale to ktoś puka.

PANNA EMILIA (*drżącym głosem*). Kto tam?

Wchodzi młody Silberstein. Szesnastoletni wyrostek, dbały o elegancję zewnętrznego wyglądu.

W czarnym palcie, z przykrótkimi rękawami, z pod których widać olbrzymie mankiety. Żółte buty, spodnie u dołu zawinięte, w klapie od palta zwiędły kwiatki. Wszedłszy, kłania się zamaszycie.

SILBERSTEIN. Moje uszanowanie paniom.
PANNA EMILIA. Jak pan tu wlaź?

SILBERSTEIN. W kuchni drzwi były otwarte.

PANNA EMILIA. Nie może być. (*wybiega do kuchni, po chwili wraca, przez ten czas Silberstein rozgląda się po pokoju z ironicznym uśmiechem*).

SILBERSTEIN. Pan Nostradamus jest w domu?

PANNA EMILIA (*mierzy Silbersteina od stóp głów, wyniosłym tonem*). Kto?

SILBERSTEIN. Przepraszam... najmocniej przepraszam. Czy pan profesor Nostradamus jest w domu?

PANNA EMILIA. Niema.

SILBERSTEIN (*klaniając się grzecznie*). Ja poczekam.

PANNA EMILIA. A niech pan poczeka. Mąż także panu coś powie.

SILBERSTEIN (*z najwyższem zdumieniem*). Mnie?

Chwila ciszy.

PANI DUDZIŃSKA (*ze słodkim uśmiechem, zwracając się do panny Emilii*). Może ja pani przeszkadzam?

PANNA EMILIA. Ale skądżeż... *(do Silbersteina, który wciąż stoi uśmiechnięty)* Pewno z rachunkiem przyszedł?

SILBERSTEIN. Mam rachuneczek.

PANNA EMILIA. Do pieniędzy to im zawsze pilno. A te pierścionki, coście ostatnim razem przysłali, to nic nie warte... Z dziesięć trzeba było wyrzucić *(na twarzy Silbersteina znów odbija się wyraz niesłychanego zdumienia)*. Zaraz mu pokażę... ja tu mam odłożone. *(wyjmuje z szuflady pierścionek i podaje Silbersteinowi)* Niech powie ojcu, że to wstyd taki towar dawać.

SILBERSTEIN *(po chwili, ze smutkiem)*. Jest złamane... Żeby nie było złamane, to jabym nigdy nie uwierzył, że to się mogło złamać.

PANNA EMILIA. Od kogo innego będzie się brało.

SILBERSTEIN. Od kogo innego? Proszę szanownej pani profesorowej, my jesteśmy pierwszą w kraju firmą na te rzeczy. Krajowa firma. Wszyscy panowie chiromanci i czarnoksiężnicy biorą od nas talizmany, amulety, pierścionki od złego uroku, od choroby, od dozgonnej miłości i wszyscy są zawsze bardzo zadowoleni... My się przeprowadzamy teraz... Będziemy mieli telefon.

PANNA EMILIA. Dziś się nie zapłaci.

SILBERSTEIN. Kiedy indziej się zapłaci.

PANNA EMILIA. To na co czeka?

SILBERSTEIN. Pani profesorowa pozwoli. *(zbliża się z ukłonem do stołu, kładzie kopertę i cofa się szybko)* Ja mam bardzo ładne pocztówki... Artystyczne pocztówki... Dostaliśmy świeżo nowy transport z Londynu. My z Niemiec teraz nic nie sprowadzamy... Może pani profesorowa obejrzy?

PANNA EMILIA. O... o... już coś wymyślił.

PANI DUDZIŃSKA. Przepędziłaby go pani.

SILBERSTEIN. Ja się odwrócę.

PANNA EMILIA. Nie... nie... zabrać to i wynosić mi się zaraz!

SILBERSTEIN. Ja innym razem zabiorę, jak po pieniądze przyjdę. Adieu... Moje uszanowanie.

PANNA EMILIA. A drzwi dobrze za sobą zamknąć...

SILBERSTEIN. Jabym nie zamknął... zamknę.

Kłania się zamaszycie i kieruje ku drzwiom. W tej samej chwili z sieni wchodzi do kuchni Józef. Ubrany czarno, czarny krawat, czarne rękawiczki na rękach, ale nie jest to żałoba po nikim, tylko zamanifestowanie poważnego stanowiska w społeczeństwie. Niesie paczkę sporych rozmiarów.

SILBERSTEIN *(kłania mu się zamaszycie)*. Moje uszanowanie panu profesorowi... Ja z rachuneczkiem,

JÓZEF (*podniesionym głosem*). Ani grosza nie dostaniesz! Co wy za towar dajecie. Dziesięć talizmanów trzeba było wyrzucić! To oszustwo.

SILBERSTEIN. Proszę wielmożnego pana profesora... jak to może być... My jesteśmy pierwsza krajowa firma... wszyscy panowie czarnoksiężnicy są z nas bardzo zadowoleni... My się przeprowadzamy teraz... Będziemy mieli telefon.

JÓZEF. Powiedziałem ci, żebyś się wynosił.

SILBERSTEIN. Ja idę. Moje uszanowanie panu profesorowi.

JÓZEF (*przechodząc z kuchni do pokoju*). A, co za gość!

PANI DUDZIŃSKA. Boję się, że nazbyt częsty.

JÓZEF. Co też pani mówi!

PANNA EMILIA. Masz sowę?

JÓZEF. Mam.

PANI DUDZIŃSKA. Winszuję, winszuję.

JÓZEF. Zaraz, niech ją pani wpierw obejrzy.

PANNA EMILIA. Ale ja co innego miałam na myśli.

JÓZEF. Co?

PANI DUDZIŃSKA. Podobno jutro dajecie państwo na zapowiedzi?

JÓZEF. Dajemy, dajemy. (*szybko do panny*

Emilii, która rozplątywała sznurek i zatrzymała się) No, otwieraj... Ostrożnie. (*odbiera jej pudełko, otwiera sam i ustawia sowę na stole, przez chwilę wszyscy przyglądają się w milczeniu*).

PANI DUDZIŃSKA. Ponury ptak!

JÓZEF. Ale w naszym zawodzie potrzebny. Każde stworzenie, jakie jest na świecie, ma swój cel. (*spostrzega pocztówkę*) Co to?

PANNA EMILIA. A to ten żydziak zostawił

JÓZEF. Podły towar daje, to tem chce oczy zaćmić. (*zaczyna przeglądać i nagle parska śmiechem, do Dudzińskiej*) Niech no pani zobaczy.

PANI DUDZIŃSKA (*skromnie*). O... o... (*po chwili bierze pocztówkę, wszyscy troje zaczynają oglądać, parszając raz po raz śmiechem*).

JÓZEF. Ta dobra.

PANI DUDZIŃSKA. Hi... hi... hi...

JÓZEF (*energicznym ruchem zbiera nagle pocztówki*). Ale to trzeba sprzątnąć, żeby tu na wierzchu nie leżało.

PANI DUDZIŃSKA. Panie Józefie.

JÓZEF. Co?

PANI DUDZIŃSKA. Podarowaliby mi państwo te pocztówki... Dla państwa może być z tego tylko kompromitacja, a mnie przy manikiurze mogą się nieraz takie fotografie przydać...

JÓZEF. A niech pani bierze. *(po chwili)* Wiedziałła pani, jaki mi płaszcz uszyła?

PANI DUDZIŃSKA. Nie.

JÓZEF. Niech no pani poczeka. *(wychodzi do sąsiedniego pokoju)*

PANI DUDZIŃSKA. To pani sama mężowi uszyła?

PANNA EMILIA *(zamysłona, roztargnionym tonem)*. Sama.

Józef wraca po chwili w czarnej masce i czarnym długim płaszczu.

PANI DUDZIŃSKA. Aa!... No, ale też pan w tem wygląda!

JÓZEF *(zdejmując maskę)*. U nas tak teraz. Wie pani, że jak w masce mówię, to się odrazu mniej targują.

PANI DUDZIŃSKA. Z pana Józefa to genialny człowiek.

JÓZEF. Nauczyłem się w kryminale rozumu.

PANI DUDZIŃSKA. I zawsze ma ochotę do żartów. Wie pan, że ja podziwiam tylko pańskie anielskie usposobienie. Gdyby mnie tak do więzienia wsadzono, to z samej złości umarłabym chyba.

PANNA EMILIA. Ja też.

JÓZEF. A ja nie żałuję, że siedziałem. *(po chwili)* Szczytnicki mówił, że to, czego się czło-

wiek nauczy w życiu i co przecierpi, nigdy nie jest stracone. I to święta prawda. Bo mnie się i nauka przydała i kryminał. Dawniej się uczyłem, ale nie umiałem korzystać ze swego wykształcenia. Dopiero w kryminale rozjaśniło mi się w głowie. Był tam jeden... wujaszek Teofil, opowiadałem o nim pani *(po chwili sentencyonalnie)*. Nic tak nie uczy, jak obcowanie z rozumniejszymi od siebie.

PANI DUDZIŃSKA. Szkoda, że muszę uciekać, bo z panem toby się cały dzień i całą noc gadało.

JÓZEF. Nie zatrzymujemy pani, bo i do nas zaraz się złączą goście złaźić.

PANI DUDZIŃSKA. Dowidzenia. *(do panny Emilii)* Cóż to pani tak humor straciła... w przeddzień zapowiedzi?

PANNA EMILIA. Nie straciłam.

JÓZEF *(w chwilę po wyjściu pani Dudzińskiej)*. Wicek nie przyszedł jeszcze?

PANNA EMILIA. Widzisz przecie, że go niema.

JÓZEF. Cóżes ty taka markotna?

PANNA EMILIA. Józef, czy my damy jutro na zapowiedzi?

JÓZEF. Ta wiecznie swoje.

PANNA EMILIA. Wiecznie swoje. A jakeś z kryminału wyszedł i z głodu zdychał, to kto

ostatni grosz na ciebie wydał? Kto ci jeść dawał wycieruchu! Ja się nie zawahałam, żeby służbę rzucić. (*wybuch płaczem*)

JÓZEF. Nie bez. Powiedziałem ci, że się ożenię, to się ożenię.

PANNA EMILIA (*przez łzy*). A jak Dudzińska się pytała, czy dajemy jutro na zapowiedzi, toś tak powiedział »dajemy, dajemy«, że mogła Bóg wie co pomyśleć, że cię przemocą do ołtarza ciągnę. Ona tu teraz przyłazi tylko po to, żeby mię kłuć w oczy. (*z nagłą pasją*) Niech się jeszcze raz pokaże, to ze schodów na łeb zrzucę.

JÓZEF. Czyś ty oszalała?

PANNA EMILIA. A ty jej jeszcze bronisz... Oczy wydrapię, na łeb ze schodów zrzucę, jak mi się tu tylko pokaże. I ciebie razem z nią... Ty oszuście, zbóju, kryminalisto!! Myślisz, że ja tam w twoją mądrość wierzę... (*wybuch płaczem*) Zwiodłeś mnie, oszukałeś... ja ci wszystko... ostatnie pieniądze...

JÓZEF. O, jakżeś ty głupia. Powiedziałem ci, że się ożenię, to się ożenię. Ale teraz jeszcze nie mogę. Toby nam w interesach zaszkodziło.

PANNA EMILIA. Dlaczego?

JÓZEF. Przecie taki profesor, jak ja, to nie może się żenić. Ja muszę żyć w czystości.

PANNA EMILIA. I tak ze sobą żyjemy.

JÓZEF. Ale jak bez ślubu to... to ludzie mogą myśleć, że stosunki nasze są czysto duchowe.

PANNA EMILIA. Nauczyłeś ty się w kryminale ładnie gadać.

JÓZEF. Nauczyłem się, jak trzeba żyć na świecie.

PANNA EMILIA. Józef!

JÓZEF. Co?

PANNA EMILIA. Jak mnie tu żywą widzisz... Jeżeli jutro do parafii nie pójdziemy... (*z kuchni dolatuje odgłos dzwonka*).

JÓZEF. Otwórz.

PANNA EMILIA. Nie otworzę.

Józef kładzie na twarz maskę i zdecydowanym krokiem idzie w stronę kościoła.

PANNA EMILIA (*przerażonym głosem*). Józef... daj spokój. (*wybiega do kuchni*)

Wchodzi Wicek, dwunastoletni wyrostek, typ ulicznego »andrusa«.

JÓZEF. Znowuś się spóźnił.

WICEK. Bo tam pijaczkę jakąś aresztowali na ulicy i taki tłok był, żem się nie mógł przećcisnąć.

JÓZEF. Wicek, ty wiesz, że ze mną żartów niema. Ubieraj się.

Panna Emilia wnosi z sąsiedniego pokoju czarną togę, podobną do tej, jaką ma Józef i pomaga ubrać się w nią Wickowi.

WICEK. Jutro to już na czas przyjdę, ale niech mi pan profesor za to dzisiejsze opóźnienie nie wytrąca.

JÓZEF. Wytrącę ci, bo we wszystkim musi być sprawiedliwość. Jakby sprawiedliwości nie było, toby świata nie było. Jazda!

Wicek wychodzi zadąsany do kuchni.

JÓZEF (*do panny Emilii*). Nie róbże ty takiej płacziwej gęby, bo aż przykro patrzyć. Jak sobie wyrobimy porządną klientelę, to się z tobą ożenię. Wtedy już nie trzeba będzie nam dbać o opinię ludzką. Pomogłabyś mi lepiej pokój urządzić.

Zdejmują rzeczy ze stołu i nakrywają go czarną serwetą. Panna Emilia przynosi z drugiego pokoju trzy świece, które ustawia na stole. Józef odśłania kościotrupa.

PANNA EMILIA. A sowę gdzie ustawić?

JÓZEF. Sowę. (*po namyśle*) Na stole (*ubiera się w togę, w kuchni słychać dzwonek*). Zapalno prędko świece i zasłoń okna!

Wszyscy się rozchodzą.

WICEK (*otwierając po chwili drzwi od kuchni*). Pan będzie łaskaw trochę poczekać. Pan profesor jest teraz zajęty.

Wchodzi Konstanty, nowy służący baronostwa.

KONSTANTY. A prędko będzie wolny?

WICEK. Czy ja wiem, pan profesor czyta teraz indyjską książkę. Taką książkę, której nikt nie rozumie (*wychodzi, chwila pauzy*).

Józef ukazuje się w progu. Uroczysty, czarny ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

KONSTANTY. Pan profesor Nostradamus?

JÓZEF. Tak mnie nazywają na ziemi.

KONSTANTY. Ja tu przychodzę od pana barona Złotopolskiego.

JÓZEF. Konsula?

KONSTANTY (*zdziwiony trochę wykrzyknikiem Józefa*). Tak. (*po chwili*) Pan profesor zna pana barona Putyfarowskiego?

JÓZEF (*po chwilowem wahaniu*). Wiem, że pan baron jest konsulem egipskim.

KONSTANTY. Pan konsul bardzo prosi, żeby pan profesor był łaskaw przyjść do niego. Tu jest adres (*podaje bilet*).

JÓZEF (*przez chwilę machinalnie obraca bilet w palcach*). A... w jakim celu pan konsul chciał mnie widzieć?

KONSTANTY. Pan konsul pragnie zasięgnąć porady od pana profesora.

JÓZEF (*po chwili*). Proszę powiedzieć, że przyjdę.

KONSTANTY. To ja zarekomendowałem panu baronowi pana profesora.

JÓZEF. Spełniliście prosty swój obowiązek. Kto o mnie wie, powinien mówić o mnie znajomym i bliźnim.

KONSTANTY (*który spodziewał się widocznie jednak innego wyrazu wdzięczności, po chwili nie chcąc odchodzić zupełnie z niczem*). Możeby pan profesor i mnie był łaskaw co z kart powiedzieć.

JÓZEF. Dobrze... dobrze... Innym razem. Teraz nie mam czasu.

KONSTANTY. Moje uszanowanie panu profesorowi.

JÓZEF. Dowidzenia.

JÓZEF (*zemocjonowany przechadza się kilkakrotnie po pokoju, następnie woła w stronę drzwi*). Chodź no tu.

PANNA EMILIA. Czego chcesz? (*gasi świece*).

JÓZEF. Czegoż ty gasisz?

PANNA EMILIA. Co się mają wypalać, jak nikogo niema. (*odstawia okno*)

JÓZEF. Wiesz, kto to był?

PANNA EMILIA. No?

JÓZEF. Służący barona.

PANNA EMILIA. Barona? Putyfarowskiego?

JÓZEF. Tak.

PANNA EMILIA. A czegoż on od ciebie chciał?

JÓZEF. Baron bardzo prosi, żebym do niego przyjechał. Uważasz, nie powiedział, żebym przyszedł, tylko przyjechał.

PANNA EMILIA. Ty do barona? po co?

JÓZEF. Przecież że nie z wizytą, tylko żebym wróżył. (*po chwili*) Już zaczynają o mnie wiedzieć w Warszawie.

PANNA EMILIA. Pójdziesz?

JÓZEF. Cóżes ty myślała? Przez barona, to ja mogę mieć w całej arystokracji klientelę. (*po chwili*) Jako dobrze się stało, żeśmy już tę sowę i kościotrupa kupili.

PANNA EMILIA. Józef!

JÓZEF. Co?

PANNA EMILIA. Nie chodź ty tam.

JÓZEF. Czyś ty oszalała?

PANNA EMILIA. Jak się baron o tobie zwiędział, to inni się bez niego dowiedzą... A tam znów cię w jakieś nieszczęście wplączą.

Józef wzrusza ramionami.

PANNA EMILIA. Oskarżyli cię fałszywie o złodziejstwo, zamknęli do kryminału i będziesz im wierzył... Cóż ty za grosz ambicyi nie masz?

JÓZEF. Trzeba przebaczać.

PANNA EMILIA. Tylko ze mną komedyi nie graj.

JÓZEF. Mocniejszemu trzeba zawsze przebaczać. To mi wujaszek Teofil zawsze powtarzał. I miał rację. *(po chwili milczenia)* Dziś już baron po mnie przysyłał. Jak ja teraz wejść w modę, to tu karetami będą przed dom zajeżdżali. *(dzwonek w przedpokoju)* Zapalaj świece i zasłoń okna *(wychodzą)*.

WICEK *(wprowadzając po chwili Baronową i Panią Nelly)*. Panie będą łaskawe trochę poczekać... Pan profesor jest teraz zajęty.

PANI NELLY. A prędko będzie wolny?

WICEK. Czy ja wiem. Pan profesor czyta in-dyjską książkę, której nikt nie rozumie. *(wychodzi)*

BARONOWA *(siada na krześle)*. Nelly, ja nie mam odwagi.

PANI NELLY. Z tego wszystkiego widzę, że to musi być straszny szarlatan. Obawiam się, że się będzie drożył.

BARONOWA. Nelly, rozmów się ty z nim.

PANI NELLY. Nie, Julu... to już musisz ty sama. Ja poczekam na ciebie w powozie.

BARONOWA. Nie odchodź jeszcze... Boże, Boże, ty pojęcia nie masz, jak ja już jestem tem życiem wyczerpana.

PANI NELLY. Wierzę ci...

BARONOWA. Żeby to się już raz skończyło, żeby Pepi umarł albo zwaryował, przynajmniej

sytuacja byłaby jasna. A tak wciąż jesteśmy zdani na łaskę najrozmaitszych szarlatanów, których ja muszę przekupywać.

PANI NELLY. Józef pewno będzie chciał, żeby mu porządnie zapłacić.

BARONOWA. Właśnie ja się tego boję, że pieniędzmi niewiele się z nim zrobi. To taki dziwny chłopak. Nelly... zostań.

PANI NELLY. Wierz mi Julu, że to niemożliwe. Zdobądź się na odwagę. Taka rozmowa musi się odbyć w cztery oczy.

BARONOWA. No to czekaj na mnie w powozie. Ale jakbym nie wracała, to przyjdiesz tu

PANI NELLY. Jakżesz się możesz nawet o to pytać.

BARONOWA. Moja droga...

Rzucają się sobie w objęcia i całują. Pani Nelly wychodzi.

Baronowa, zostawszy w pokoju sama, rozgląda się niespokojnie dookoła. Jest w najwyższym stopniu zdenerwowana. Przez chwilę waha się nawet, czyby poprostu nie uciec, pozostawiając wszystko na łasce losu. Ale jest to tylko przelotny moment. Odrazu odzyskuje energię. Jest już gotowa na najcięższą przeprawę.

Uchylając czarnej kotary, do pokoju wsuwa się tajemniczo Józef. Wchodzi i staje jak wryty. Wszyst-

kiego mógł się być spodziewać, ale nie wizyty Baronowej.

Chwila ciszy, ponieważ nikt nie wie od czego zacząć rozmowę.

BARONOWA. Pan Józef mnie poznaje?

JÓZEF. Poznają, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA (*drżącym głosem*) Ja... ja bardzo względem pana Józefa zawiniłam.

JÓZEF (*po chwili — ta chwila wystarczyła mu do zorientowania się w sytuacji*). Ja uraz nie pamiętam.

BARONOWA. Doprawdy? (*po chwili*) Jaktó, więc pan nie pamięta mi tego, że przezemnie był pan oskarżony i... i... (*szeptem*) siedział w więzieniu?

JÓZEF. W cierpieniu człowiek się doskonali.

BARONOWA. I... i... pan mi przebacza?

JÓZEF. Przebaczam, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Ach... niechże mnie pan tak nie tytułuje... Ja tu nie jestem jaśnie panią. Przychodzę prosić pana o przebaczenie.

JÓZEF (*po chwili*). Niechżeż pani baronowa usiądzie. Bardzo proszę (*zdejmuje maskę*).

BARONOWA. Nic się pan nie zmienił.

JÓZEF. Tak to nie, ale rozumu nabrałem.

BARONOWA. Och, pan i dawniej był bardzo inteligentny.

JÓZEF. Nie, pani baronowo.

BARONOWA. Tyle książek pan czytywał.

JÓZEF. Ale czasami za bardzo się tem przejmowałem, com czytał.

BARONOWA (*po chwili*). Pan pojęcia nie ma, co ja się naciерpiałam... Przez to, że... że... naraziłam pana na takie przejścia... Po nocach sypiać nie mogłam. I czułam, że się dotąd nie uspokoję, dopóki z pańskich ust nie usłyszę, że pan mi przebacza.

JÓZEF. Ja przebaczam pani baronowo.

BARONOWA. Dziękuję... dziękuję. (*wyciąga do niego rękę*)

JÓZEF. Proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Niech mi pan pozwoli dłoń swoją uściskać. Pan jest szlachetny człowiek.

JÓZEF (*dystyngowanie*). Zawsze do usług pani baronowej.

BARONOWA. Doprawdy? Pan po tem wszystkim zgodziłby się wyświadczyć mi jakąś przysługę?

JÓZEF. Ależ zawsze, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Hm. Jaktó dziwnie się składa. Czy mój mąż nie przysyłał po pana?

JÓZEF. Przysyłał.

BARONOWA (*po chwilowem wahaniu*). Panie Józefie... mój mąż chce zasięgnąć u pana rady... Nie wiem dokładnie, o co się będzie pana pytał, ale bardzo... bardzobym była wdzięczna, gdyby pan nie dał mu od razu żadnej zdecydowanej odpowiedzi, tylko przedtem porozumiał się ze mną. Dlatego o to proszę, że mój mąż jest trochę niezdrów, niektóre rzeczy mogłyby wyrzucić na nim zbyt silne wrażenie.

JÓZEF. Dobrze.

BARONOWA (*radośnie zdumionym tonem*). Zgadza się pan?

JÓZEF. Powtórzę pani baronowej wszystko, o co pan baron będzie się mnie pytał i naradzimy się nad odpowiedzią.

BARONOWA. Serdecznie będę panu wdzięczna. (*po chwili*) Jak pan ma ładnie urządzone ten gabinet. Pana już teraz w całej Warszawie znają. Bardzo wielu moich znajomych pytało się o pana.

JÓZEF. Jaśnie pani baronowa będzie łaskawa mnie polecić.

BARONOWA. Ależ ma się rozumieć. Słyszałam, że pan również bardzo wiele dobrego robi... Podobno tu na całym Powiślu nazywają pana dobroczyńcą ubogich. Bardzo pragnęłabym czemś się do tej pańskiej szlachetnej

działalności przyczynić. (*wyciąga kopertę i podaje ją Józefowi*) Może pan łaskawie przyjmie to odemnie do swego uznania.

JÓZEF. O, proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Nie, nie... niech mi pan nie dziękuje. To ja dziękuję. Pan jutro o czwartej u nas będzie.

JÓZEF. Tak.

BARONOWA. Dobrze. Dowidzenia. (*podaje mu rękę*)

JÓZEF. Nie, nie... nie proszę jaśnie pani baronowej.

BARONOWA. Ależ tak tak... drogi panie Józefie. Pan jest porządnym człowiek.

Baronowa wychodzi. Józef ją wyprowadza.

Panna Emilia ostrożnie uchyla drzwi i zagląda do pokoju. Spostrzegłszy, że nikogo niema, wchodzi, gasi świecę, odsłania okno, zbliża się do stołu, na którym leżą pieniądze.

PANNA EMILIA. Aa!... (*gorączkowo poczyna liczyć pieniądze*)

Józef wraca do pokoju.

PANNA EMILIA. Kto ci to dał?

JÓZEF. Klientka. (*siada zamyślony przy stole*)

PANNA EMILIA. Tobie? Za wróżenie?

JÓZEF. Nie przeszkadzaj.

PANNA EMILIA (*po chwili*). Czy ty jeszcze myślisz?

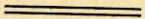
JÓZEF. Bo co?

PANNA EMILIA. Jak my tyle pieniędzy mamy, to naprawdę możemy dać jutro na zapowiedzi.

JÓZEF. Za tydzień.

PANNA EMILIA (*żałosnym tonem*). Dlaczego?

JÓZEF. A cóż, to ty tyle czasu ze mną żyjesz i nie wiesz, że jak jest księżyc w pierwszej kwadrze, to się na zapowiedzi nie daje.



VIII. JÓZEF

Prywatny gabinet barona.

Baron w porannej marynarce siedzi przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach. Przed biurkiem stoi Józef w wyczekującej, pełnej uszanowania pozycji. Ubrany bardzo wytwornie, według ostatniej mody.

BARON *(po chwili)* Teraz już przypominam sobie wszystko dokładnie.

JÓZEF. Słucham pana barona.

BARON. Więc uważasz, śniło mi się, że jechałem statkiem po Wiśle.

JÓZEF. Czy to było rano, czy wieczorem?

Baron beznadziejnym ruchem rozkłada ręce.

JÓZEF. W snach wszystkie te szczegóły mają swoje znaczenie.

BARON. Ma się rozumieć, ma się rozumieć. *(zamyślonym tonem)* Rano czy wieczorem... Czekaj, zaraz sobie przypomnę. *(ukrywa twarz w dłoniach, po chwili niepewnym głosem)* Wieczorem.

JÓZEF. I ja się tak spodziewałem.

BARON *(z ożywieniem)*. Czy to lepiej?

JÓZEF. A znacznie lepiej.

BARON. Więc uważasz, śniło mi się, że je-chałem wieczorem po Wiśle. Po obu stronach były już bulwary.

JÓZEF. Ładnie się panu baronowi śniło.

BARON. Naraz patrzę, a tu z wody wychodzi na brzeg siedm krów. Wszystkie były bardzo tłuste. Wyszły i gdzieś mi odrazu znikły z oczu. Rozglądam się, chcąc zobaczyć co się z niemi stało, a tu z wody znów wychodzi na brzeg drugie siedm krów... Strasznie chudych... Ale to powiadam ci, skóra na nich tak wisiała...

JÓZEF. Siedm krów tłustych i siedm krów chudych...

BARON. Tak... tak... tak... Ty to przynajmniej orientujesz się odrazu.

JÓZEF. I co dalej?

BARON. Nic. Obudziłem się.

JÓZEF (*po chwili uroczystym tonem*), To jest proroczy sen.

BARON. Ja byłem tego pewien. (*zaniepokojonym tonem*) Mój drogi, a co ten sen znaczy?

JÓZEF. Dokładnego znaczenia nie mogę odrazu panu baronowi powiedzieć. Muszę postawić horoskop.

BARON (*blagalnym tonem*). Ale mniejwięcej?

JÓZEF. Wogóle sen jest pomyślny.

BARON. Uspokoileś mię... (*z rozrzewnieniem*

w głosie) Poczciwy z ciebie chłopak Józefku... Co to za szczęście dla mnie, żem na takiego człowieka, jak ty natrafił!

JÓZEF (*udaje głębokie zamyslenie*). Tak... ja już bez horoskopu widzę, że to jest bardzo dobry sen... Pan baron pozwoli mi rękę. (*długo ogląda mu dłoń*).

BARON (*niespokojnie*). No?

JÓZEF. Wszystko będzie jak najlepiej. Tylko oczywiście pan baron będzie się musiał ściśle zastosować do tego, co nam horoskop powie.

BARON. Ale wszystko zrobię co mi każesz.

JÓZEF. Panie baronie.

BARON. Co?

JÓZEF. Tu pan Słucki przygotował parę listów. Może pan baron popodpisuje je teraz.

BARON. Dobrze. (*siada przy biurku*). Wiesz Józefku, między nami mówiąc, tak mi już ten Słucki obrzydł, że poprostu patrzeć na niego nie mogę. Czy ty umiesz po francusku?

JÓZEF. Trochę się poduczyłem w więzieniu.

BARON. Musisz się dobrze nauczyć. Jak się nauczysz, zamianuję cię sekretarzem konsulatu. Przy mnie możesz zająć w dyplomacji bardzo wybitne stanowisko. (*zabiera się do pisania, przez chwilę trzyma pióro zawieszzone w powietrzu, naraz niespokojnym tonem*) Józefku!

JÓZEF. Słucham pana barona.

BARON. To dziwne... Ja zapomniałem, jak się litera »K« pisze.

JÓZEF (*pochylając się nad stołem*). Litera »K« Tak.

BARON. Prawda, prawda... Uważasz jaka to zabawna litera. Zdaje się, że zadziera nogę do góry i chce krok zrobić... Pierwszy krok.

JÓZEF. Pan baron przypomniał już sobie, jak się pisze?

BARON (*nie słuchając Józefa*). Pierwszy krok — zamglony wzrok — Co rok — a potem mrok... To dziwne, jak mnie się teraz wiersze same układają w głowie.

JÓZEF. Pan baron bardzo ładne wiersze układa.

BARON. Bo ja się urodziłem na poetę. Teraz... widzę, że to było moje prawdziwe powołanie. Ale cóż... Jak kwiat nie wyrośnie na bagnie, tak samo dusza nie może się rozwinąć w poziomie otoczeniu. Czy ty uważasz, jakie ja mam porównania? Przecież ja mogłem tworzyć, śpiewać, cała ludzkość słuchałaby moich słów w skupieniu... Tylko... że od dzieciństwa byłem otoczony nikczemnymi intrygantami, którzy wszystkie siły wyteżali na to, żeby przytłumić we mnie to, co miałem najlepszego... Zawrócili mi w głowie jakimiś głupimi dostojeństwami, intere-

sami... Po co mi to... (*z obrzydzeniem odrzuca pióro*) Ja majątku nie potrzebuję! Dante ani Homer nie byli prezesami towarzystw akcyjnych.

JÓZEF. Pan baron ma rodzinę?

BARON. Nie mam. Duchowo nic mię z temi kobietami nie wiąże. Przez całe życie zajmowałem się tylko robieniem pieniędzy... Czy ty rozumiesz, jak to upadła? Zmarnowałem życie!!

JÓZEF. Panie baronie?...

BARON (*wskazując rozpaczliwym gestem na stół*). Przez to zmarnowałem życie. (*z furją drze listy*) Nic nie będę podpisywał! Cały majątek rozdám ubogim, a sam wynoszę się w góry!

JÓZEF. Pan baron jest zdenerwowany... To ten sen tak pana barona zdenerwował.

BARON. Wcale mnie nie zdenerwował.

JÓZEF. Prorocze sny denerwują zawsze.

BARON (*po chwilowym namyśle*). Hm... Ostatecznie tak ważny sen mógł mię trochę zdenerwować.

JÓZEF. Niech pan baron przejdzie do sypialni i wypocznie na łóżku. (*ujmuje barona pod rękę i prowadzi go ku drzwiom*)

BARON. Zmarnowałem życie, zmarnowałem życie! (*przechodzą do sąsiedniego pokoju, w którym mieści się sypialnia barona*).

JÓZEF. Niech się pan baron położy i stara zasnąć.

BARON (*zniecierpliwionym tonem*). Ależ mnie się wcale nie chce spać... Czyś ty oszalał!

JÓZEF. Panie baronie... trzeba... Choćby się pan baron miał przymusić. Dla wytłomaczenia poprzedniego snu bardzo ważne jest wiedzieć, co się panu baronowi teraz będzie śniło.

BARON. Myślisz?

JÓZEF. Nie myślę, tylko tak jest. To może zupełnie zmienić znaczenie snu. Pan baron na przykład nie pamiętał, czy to się działo rano czy wieczorem.

BARON. Ty mówisz, jak prawdziwy mistyk. Ten bałwan Szczytnicki pojęcia o niczem nie miał... A zresztą on był przekupiony przez moją żonę.

JÓZEF. Nie może być.

BARON. I Słucki jest przekupiony i Konstanty... Na każdym kroku otoczony jestem szpiegami... Tobie jednemu tylko jeszcze mogę wierzyć.

JÓZEF. Na mnie się pan baron nie zawiedzie.

BARON. Ja wiem o tem, dlatego też tobie wierzę. Pomóż mi zdjąć marynarkę.

Józef pomaga się baronowi rozebrać, następnie zapuszcza rolety w oknach i na palcach wychodzi

z sypialni ostrożnie zamykając za sobą drzwi. W gabinecie siada przy biurku i poczyną przeglądać papiery

Po chwili wchodzi baronowa. Józef tak jest zacytany, że nie spostrzega jej na razie.

BARONOWA. Widzę, że pan bardzo pilnie studyuje papiery mego męża...

JÓZEF (*zrywając się z krzesła*). Najmocniej panią baronową przepraszam.

BARONOWA. Zdaje mi się, że to nie wchodzi w zakres pańskich obowiązków... (*wskazując oczami na szczątki listów, porozrzucane na podłodze przy biurku*) A to co?

JÓZEF. Listy.

BARONOWA. Jakie listy?

JÓZEF. Te, które miałem dać panu baronowi do podpisania.

BARONOWA. Ach, więc mąż ich nie podpisał?

JÓZEF. Pan baron jest strasznie zdenerwowany. Poradziłem panu baronowi, żeby wypoczął trochę.

BARONOWA. I korzystając z tego, zabrał się pan do odczytywania jego papierów?

JÓZEF. Pani baronowo, tu na stole leżał wzór umowy, który pan prezes Majbaum przysłał panu baronowi do podpisania. Ja mimowoli rzuciłem na to okiem.

BARONOWA. To do pana wcale nie należy.

JÓZEF. Ja wiem, ale... Pani baronowa czytała tę umowę?

BARONOWA. Dlaczego?

JÓZEF. To jest... przepraszam za wyrażenie... to jest złodziejska umowa. Oni wszyscy chcą pana barona poprostu oszukać... Niech pani baronowa uważnie przeczyta. *(bierze papier ze stołu i podaje go baronowej)*

BARONOWA. Proszę pana, ja mam swoich doradców prawnych... *(jednakże zaczyna czytać z wielkiem zaciekawieniem)*

JÓZEF. Niech pani baronowa zwróci zwłaszcza uwagę na punkty ósmy i jedenasty. Czy to nie złodziejstwo?

BARONOWA. Skoro pan do mnie się zwraca, mógłby pan staranniej dobierać wyrażań.

JÓZEF. Najmocniej panią baronową przepraszam. Czy to nie jest... eskrokerya?

BARONOWA. Cóż to pan po francusku mówi?

JÓZEF. Trochę się poduczylem.

BARONOWA. Gdzie?

JÓZEF. W więzieniu...

BARONOWA. W więzieniu?

JÓZEF *(z akcentem dumy w głosie)*. Tam było bardzo select towarzystwo z arystokratycznych rodzin.

BARONOWA *(po chwili)*. A skądże się pan tak zna na interesach?

JÓZEF. Bo ja tam też z jednym bankierem kolegowałem. Rozmawialiśmy często i on mnie pouczył różnych takich sztuczek.

BARONOWA *(po chwili milczenia)*. A co z tymi listami będzie?

JÓZEF. Pani baronowo, to się zrobi... Niech tylko pan baron troszeczkę się uspokoi... Bruliony tych listów mam, zaraz je się każe przepisać na maszynie, a potem dam panu baronowi do podpisania. Dziś się je wyśle.

BARON *(woła przez drzwi)*. Józefie... Józefie..

BARONOWA. Niech pan idzie.

Po wyjściu Józefa baronowa siada przy biurku. i na nowo z uwagą poczyną studyować papiery. Józef miał rację. W umowie, którą prezes Majbaum przysłał baronowi do podpisania, znajdowały się złodziejskie zasadzki (w duszy baronowa może użyć tak brutalnego wyrażenia). Gorsze jest, że nad zredagowaniem umowy miał czuwać mecenas Wołomiński. Czyżby i ten dawny, zaufany przyjaciel baronowej dał się już przeciągnąć na stronę wrogów?

Zmiana poglądów na przyjaźń odbywa się w umyśle baronowej błyskawicznie. Po chwili nerwowo podkreślając ołówkiem jakieś zdanie w kontrakcie, szepcze półgłosem przez zaciśnięte zęby:

... Złodziej.

Tyczy się to mecenasa Wołomińskiego. Odczytawszy po raz drugi i trzeci umowę, baronowa zamysła się głęboko. Oczywiście nie ulega to już najmniejszej wątpliwości. Majbaum przeciągnął na swoją stronę Wołomińskiego i obaj chcą ich haniebnie oszukać. Nikomu więc już dziś absolutnie wierzyć nie można. Z zadumy budzi baronową głos.

— Czy można?

W progę stoi pani Nelly.

BARONOWA (*zrywając się radośnie z krzesła*). Nelly!... Nareszcie... Codziennie telefonowałam do ciebie.

PANI NELLY. Zasiedziałam się na wsi.

BARONOWA. Na dwa dni się wybierałaś.

PANI NELLY. Zrobiło się dziesięć. Na dobrą sprawę jeszcze powinnam była siedzieć, ale już sił nie miałam.

BARONOWA. Kiedyś przyjechała?

PANI NELLY. Dzisiaj rano. Ani oka przez całą noc nie zmrużyłam. Są szczęśliwi ludzie, którzy umieją sypiać w wagonach, ja nie potrafię. Cóż tu u was słyszeć?

BARONOWA. Aa... co za zmiany!

PANI NELLY. Częściową relację już mam.

BARONOWA. Od kogo?

PANI NELLY. Od Szczytnickiego.

BARONOWA. Widziałas go?

PANI NELLY. Spotkałam go, idąc do was, i odprowadził mię do samego domu.

BARONOWA. Cóż ci mówił?

PANI NELLY. O Józefie...

BARONOWA. Czekaj Nelly... przejdziemy do mnie, będziemy mogły swobodniej rozmawiać.

Przechodzą do małego salonu.

BARONOWA. Rozbieraj się.

PANI NELLY. Ja na moment tylko wpadłam. Więc cóż to, Józef jest podobno prywatnym sekretarzem twego męża?

BARONOWA. Wyobraź sobie że tak...

PANI NELLY. A Słucki?

BARONOWA. Słucki jest w konsulacie.

PANI NELLY. Ale jakżeż się to stało?

BARONOWA. Pepi się uparł, żeby mieć Józefa przy sobie. Józef wróży mu z ręki, tłumaczy sny... na tem polegają jego czynności prywatnego sekretarza.

PANI NELLY. I codziennie do was przychodzi?

BARONOWA. Mieszka u nas.

PANI NELLY. Mieszka?

BARONOWA. Mówię mu panie, witam się z nim za rękę.

PANI NELLY. Pamiętam, jakaś była zdenerwowana, kiedyśmy do niego jechały. Ja daro-

wać sobie nie mogłam, że cię tam samą zostawiłam... No, ale widzę, że się wszystko dobrze skończyło.

BARONOWA. Nie tak dobrze, jak ci się zdaje. Z tego, że muszę tolerować Józefa, nie wynika jeszcze, abym była zadowolona z jego obecności w naszym domu.

PANI NELLY. Szczytnicki jest trochę tem zgorzszony.

BARONOWA. Czem?

PANI NELLY. Że Józef zajął takie stanowisko u was w domu.

BARONOWA. Rozumiem dobrze, że panu Szczytnickiemu to nie na rękę, no ale przyznam ci się, że z dwojga złego wolę z Józefem mieć do czynienia niż z nim.

PANI NELLY. Więc jednak jesteś z Józefa zadowolona?

BARONOWA. Czy ja wiem. Wytworzyła się tak dziwaczna sytuacja...

PANI NELLY. Józef ma wpływ na twego męża?

BARONOWA. Teraz najzupełniejszy!

PANI NELLY. A czemże go sobie tak ujął?

BARONOWA. To bardzo proste. Pepi podejrzewa, że Józef mnie nienawidzi.

Wchodzi Konstanty.

KONSTANTY. Pan mecenas Wołomiński.

BARONOWA. Poproś do salonu.

PANI NELLY. Droga Julu, ty masz zapewne jakieś ważne sprawy z mecenasem do omówienia, a ja i tak muszę uciekać, więc nie będę ci przeszkadzała.

BARONOWA. Poczekaj chwilę.

PANI NELLY. Nie... nie... nie mam czasu. Jest Marusia?

BARONOWA. Na nią przyszedł jakiś okres melancholii. Całymi dniami siedzi zamknięta w swoim pokoju.

PANI NELLY. Zайдę do niej.

Pożegnawszy baronową, pani Nelly udaje się do panińskiego buduaru Marusi. Duży pokój urządzony z surową prostotą. Na ścianach pełno fotografii nagich mężczyzn. Są to jednak nagości uswięcone przez sztukę.

Marusia z papierosem w ustach leży na kanapie. Oczy nawpół przymknięte, na twarzy wyraz znużenia. Tuż obok na bardzo niewygodnym krzeselku siedzi Słucki.

Cisza.

MARUSIA. Nie... nie... tylko już nie odpinaj.

SŁUCKI. — — —

Pukanie do drzwi.

MARUSIA *(szepem)*. Widzisz... *(pośpiesznie zrywa się z kanapy — parę błyskawicznych wpra-*

wnych ruchów rąk — wszystko w porządku — biegnie ku drzwiom). Kto tam... Ach to pani, kiedy pani przyjechała?

PANI NELLY. Dzisiaj rano. *(do Słuckiego)*. Dzień dobry panu.

SŁUCKI. Pani dość długo bawiła na wsi tym razem.

PANI NELLY. Dziesięć dni... Wybierałam się na dzień. Strasznie zmęczona jestem. Są szczęśliwi ludzie, którzy umieją sypiać w wagonach, ja nie potrafię. Poczęstuj mię papierosem.

MARUSIA. Panie Ottonie.

SŁUCKI *(podając pani Nelly papierosnicę)*, Nie wiedziałem że pani pali...

PANI NELLY. Ja bardzo rzadko palę... Kiedy jestem zmęczona, żeby się podniecić *(po chwili)*. Idąc do was, spotkałam przed domem Szczytnickiego.

MARUSIA. Biedny profesor, szczerze mi go żal.

PANI NELLY. Papa wciąż do niego uprzedzony.

MARUSIA. Papa możeby się dał przekonać, ale... *(po chwili)*. Wie pani, jakie zmiany u nas zaszły?

PANI NELLY. Wiem.

SŁUCKI *(do pani Nelly)*. Ja panią pożegnam. MARUSIA. Niechżeż pan siedzi.

SŁUCKI. Muszę zajrzeć do konsulatu. Ojciec pani może mnie potrzebować.

MARUSIA. Niema obawy. Skoro pan jest tak sumiennym urzędnikiem, niech pan zajrzy zresztą... Ale wróci tu pan?

SŁUCKI. Jeśli pani pozwoli.

MARUSIA *(po wyjściu Słuckiego)*. Więc tak — Józef jest nadwornym chiromantą papy... Cóż pani na to?

PANI NELLY. Szczytnicki pierwszy mi to dziś rano powiedział. Myślałam, że przesadzał.

MARUSIA. Nie, nie, nie przesadzał. Pierwszą osobą w domu jest dziś Józef... wszyscy musimy się z nim liczyć. *(po chwili zdenerwowanym, podnieconym tonem)*. Wie pani, że tu takie stosunki zapanowały w tym miłym domu, że najbujniejsza fantazyja powieściopisarska nic podobnegoby nie wymyśliła.

PANI NELLY. Widzę, że jesteś strasznie zdenerwowana.

MARUSIA. Ach, bo mi już to wszystko obrzydło... Ten wieczny fałsz i w dodatku taki wstrętny.

PANI NELLY. Rozumiem, że to przykro... a nawet niebezpiecznie... przyznam ci się, że-

bym się bała być pod jednym dachem z tego rodzaju opryskiem...

MARUSIA. Jakim opryskiem? Czy pani żartuje ze mnie? Czy pani choć przez chwilę wierzyła w winę Józefa? Mama go fałszywie oskarżyła przez zemstę.

PANI NELLY (*przerazona*). Marusiu!

MARUSIA. Proszę pani, pocóż my między sobą mamy grać tą komedię. Niech mi pani szczerze odpowie: wierzyła pani w to, że Józef ukradł broszkę?

PANI NELLY. Mogło być nieporozumienie.

MARUSIA. Nie, nie było nieporozumienia. Było... nie chcę rzeczy nazywać po imieniu przez konwenans... Baronowa jest moją macochą, a pani serdeczną przyjaciółką. Zresztą nic złego się nie stało, że Józef w więzieniu posiedział. Święcie mu się to należało... Ja nie widziałam drugiego takiego łotra.

PANI NELLY. Więc sądzisz jednak, że to łotr?

MARUSIA. Teraz się dopiero o tem przekonałam... z jego postępowania u nas.

PANI NELLY. Marusiu, uspokój się, ty jesteś najokropniej zdenerwowana... nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

MARUSIA. Ja się duszę w tej atmosferze... Biedny papa jest chory, niepoczytalny już dziś

prawie, a oni wystawiają go na błązna przy pomocy tego opryska...

PANI NELLY. Moje dziecko, zapewne, że to jest bardzo przykre... Rozumiem, że taką szlachetną, wrażliwą naturę, jak twoja, musi to oburzać... ale... tu wchodzi w grę tyle interesów pierwszorzędnej wagi, że samem uczuciem nie można się kierować. Tu i o twoją przyszłość chodzi.

MARUSIA (*opryskliwie*). Ja to rozumiem.

PANI NELLY (*po chwili*). Zdaje mi się, że dawniej dość lubiałaś Józefa?

MARUSIA. Lokajów nie można ani lubić, ani nie lubić. Mogą dobrze, albo źle spełniać swoje obowiązki.

PANI NELLY. Dawniej głosiłaś inne zdanie.

MARUSIA (*po chwili milczenia*). Jedynym argumentem, jaki wiecznie słyszę, to jest, żeby to, albo owo zrozumieć. Ja wszystko rozumiem. Ale z tego, że się coś rozumie, nie wynika jeszcze, aby się na to godzić. Ja rozumiem, że trzeba grać komedię z papą, rozumiem, że na to był potrzebny kompromis z Józefem, ale od życia chciałoby się czegoś więcej wymagać. Wiecznie obracać się w tym zaklętym kole brudnych, codziennych spraw, intryg, plotek... Nie, to chyba nie może być celem istnienia.

PANI NELLY. Co cię tak rozgoryczyło?

MARUSIA. Co? To, na co od szeregu lat patrzę.

PANI NELLY. Nie... nie... Zabardzo jesteś podniecona. Musiało cię coś świeżo urazić... Pomów ze mną szczerze, jak z przyjaciółką.

MARUSIA. Ja chyba dziś szczerze z panią mówię.

PANI NELLY. Bardzo ci jestem za to wdzięczna. Ja życie znam, na wiele rzeczy patrzyłam... może ci będę mogła w czemś doradzić, dopomóż.

MARUSIA. Pamięta pani pannę Emilię?

PANI NELLY. Te waszą dawną pokojówkę?

MARUSIA. Tak. Była dziś u mnie.

PANI NELLY. Czegóż ona od ciebie chciała?

MARUSIA. Przychodziła ze skargą na Józefa.

PANI NELLY. Ona była w nim zakochana.

MARUSIA. Pamięta pani zapewne, że potem, jak go aresztowano, poprostu skandale zaczęła nam robić.

PANI NELLY. U Szczytnickiego także była?

MARUSIA. Tak... tak... Słowem, zajmowała się Józefem jak najgoręcej, z całym poświęceniem, na jakie tylko stać człowieka. Potem, kiedy go wypuścili, oddała mu wszystkie uskładane pieniądze. I wie pani, jak jej się ten łotr odwdzieczył... Znać jej teraz nie chce!

PANI NELLY. To cię tak zdenerwowało?

MARUSIA. Co za nikczemna natura... Albo jego zachowanie się u nas w domu... Przecież on wie, że go tu niesłusznie skrzywdzono.

PANI NELLY. Marusiu, takich rzeczy mówić ci nie wolno.

MARUSIA. Miałyśmy rozmawiać szczerze.

PANI NELLY. I ty właśnie mówisz nieszczerze... Jesteś zdenerwowana. Unosisz się!...

MARUSIA. Skoro pani tak sądzi...

PANI NELLY. Mniejsza o to... Ale cóż masz do zarzucenia Józefowi?

MARUSIA. To jego wstrętne, płaskie przypodchlebianie się mamie.

PANI NELLY. Ależ Marusiu!

MARUSIA. Nie, niech mi pani nie zaprzecza. Przecież to jest tak wstrętne, że słów nawet trudno znaleźć, aby to napiętnować. Ten człowiek, którego tu spotkała najcięższa krzywda i to ze strony mamy.

PANI NELLY (*surowo*). Marusiu!

MARUSIA. Skoro pani mi mówić nie pozwala.

PANI NELLY. Owszem, nie tylko pozwalam, ale chcę z tobą mówić, tylko ty mamę najnieśprawiedliwiej osądzasz. Nie rozumiem zresztą, dlaczego cię uległość Józefa tak oburza. Czy wolałabyś, żeby się starał robić mamie na złość?

MARUSIA. — —

PANI NELLY. Widzisz sama, że jesteś nie-logiczna. To nie jest przypodchlebianie się ze strony Józefa, tylko chęć, jakby to powiedzieć... ekspiacji.

MARUSIA. Kiedy on żadnej winy nie popełnił.

PANI NELLY. Tego napewno utrzymywać nie możesz.

MARUSIA. Mogę. Mam moralne przekonanie.

PANI NELLY. Ale ostatecznie o co ci chodzi?

MARUSIA. O to, żeby go u nas w domu nie było.

PANI NELLY. Ale dlaczego?

MARUSIA. Ja poprostu wstręt do niego czuję, patrzeć na niego nie mogę.

PANI NELLY. Marusiu...

MARUSIA. Co?

PANI NELLY. Będziesz mówiła ze mną szczerze, ale zupełnie szczerze?

MARUSIA. Ja się domyślam, co pani mi chce powiedzieć.

PANI NELLY. Co?

MARUSIA. Pani mię podejrzewa zapewne, że się zakochałam w Józefie i że z tego powodu cała moja nienawiść przeciwko niemu, otóż tak nie jest.

PANI NELLY. Przyznam ci się, że bardzo na to wygląda.

MARUSIA. Dlaczego?

PANI NELLY. Poprostu sądząc, z podniecenia, z jakim o tem mówisz. Gdyby to była sprawa czysto teoretyczna...

MARUSIA. Jaktó czysta teoretyczna?

PANI NELLY. No, gdyby ci chodziło tylko o moralne wady Józefa.

MARUSIA. Sądzi pani, że mówiłabym spokojniej?

PANI NELLY. Napewno.

MARUSIA. Ach, więc pani sądzi, że o ile coś mnie nie dotyczy bezpośrednio, to już nie jest w stanie wywołać żadnego żywszego uczucia.

PANI NELLY. W każdym razie nie tak gwałtownego.

MARUSIA. Ach, jacyż wy wszyscy jesteście zepsuci!

PANI NELLY. Przepraszam cię Marusiu, ale ten ton jakim mówisz... (*wstaje*) Jesteś teraz bardzo zdenerwowana.

MARUSIA. Niech się pani na mnie nie gniewa. Rzeczywiście jestem strasznie zdenerwowana. Przepraszam panią jak najmocniej.

PANI NELLY. Nie gniewam się, ponieważ

biorę zdenerwowanie twoje pod uwagę. Tylko ty się uspokój.

MARUSIA. Skoro się takie rzeczy zaczniesz przemyślać, to nie tak łatwo się uspokoić.

PANI NELLY. Kiedy ta panna Emilia była u ciebie?

MARUSIA. Dzisiaj, przed godziną.

PANI NELLY. Bardzo zmartwiona?

MARUSIA. Strasznie.

PANI NELLY. Płakała?

MARUSIA. Nie, takie proste natury to łatwiej zdaje się umiejęć się powstrzymać od łez niż my.

PANI NELLY. I czegoż ona chciała od ciebie — poza skargą...

MARUSIA. Prosiła mnie, żebym wpłynęła na Józefa.

PANI NELLY. A ty?

MARUSIA. Obiecałam jej, że to zrobię.

PANI NELLY. Marusiu, czy to na co się przyda?

MARUSIA. Bardzo wątpię, ale skoro jej przyrzekałam...

PANI NELLY. Ta rozmowa jeszcze bardziej cię zdenerwuje.

MARUSIA. Zupełnie sobie jej nie wyobrażam.

PANI NELLY. Marusiu!

MARUSIA. Co?

PANI NELLY. Dam ci dowód, że moja przyjaźń nietylko na zapewnieniach polega. Sama się rozmówię z Józefem.

MARUSIA. Pani?

PANI NELLY. Tak... Mnie ta rozmowa znacznie łatwiej pójdzie. Cóż, chcesz?

MARUSIA. — —

PANI NELLY. Chcesz?

MARUSIA (*niezdecydowanym tonem*). Dobrze. (*pukanie do drzwi*). Proszę.

SŁUCKI. Profesor Szczytnicki przyszedł.

PANI NELLY i MARUSIA (*razem*). Przyszedł?

MARUSIA. Gdzie jest?

SŁUCKI. W małym salonie. Rozmawia z panią baronową.

MARUSIA. Mama go przyjęła?

SŁUCKI. Właściwie nie. Szczytnicki wcale się o to nie pytał i wszedł bez meldowania.

MARUSIA. Bardzo dobrze zrobił.

PANI NELLY. Czy tak bardzo, to nie wiem.

MARUSIA. On parę razy przychodził do nas, mama nigdy go nie chciała przyjąć. To sensu nie miało... przyjąć człowieka zawsze można.

PANI NELLY. Jesteś dziś w usposobieniu do krytykowania wszystkiego.

MARUSIA. Przychodzą czasami takie dni, w tym domu częściej zapewne niż gdzieindziej.

PANI NELLY (*do Słuckiego*). Niechżeż pan wpłynie na Marusię, żeby nie była tak ponuro usposobiona. No i ja uciekam. Czy Józef jest w konsulacie?

SŁUCKI. Pan Józef w konsulacie niema nic do roboty.

PANI NELLY. Myślałam, że on tam urzęduje.

SŁUCKI. Pan Józef nie jest urzędnikiem.

PANI NELLY. W każdym razie...

SŁUCKI. O ile go chce pani zobaczyć, sądzę, że go pani znajdzie w prywatnym gabinecie pana barona.

MARUSIA. Pani teraz zaraz będzie z nim mówiła?

PANI NELLY. Zaraz. Może zrobimy co dla tej biedaczki. Dowidzenia.

MARUSIA (*po wyjściu pani Nelly*). Ach jakżeż ona mnie zdenerwowała.

SŁUCKI. Nieznośna jest...

MARUSIA. Głupia.

SŁUCKI. Intrygantka.

MARUSIA. Przyszła tu Bóg wie po co...

SŁUCKI. I tak jeszcze natarczywie wlaźła.

MARUSIA (*z przekąsem*). No, ale ty...

SŁUCKI. Co?

MARUSIA. Jak ona weszła, zaczerwieniłeś

się, jak panienka. Kto słyszał mieć tak mało zimnej krwi.

SŁUCKI. Tak niespodziewanie zapukała.

MARUSIA. Cóż z tego, czy ja się zmieszałam?

SŁUCKI. Ty masz wyjątkowy spokój.

MARUSIA. Przyznam ci się, że mnie te twoje nerwy rażą. Nie cierpię mężczyzn, którzy się zachowują, jak stare histeryczki!

SŁUCKI. Marusiu.

MARUSIA. Co?

SŁUCKI. Już się na mnie gniewasz?

MARUSIA. A ty już jesteś nieszczęśliwy...

SŁUCKI. No...

MARUSIA. Nie kończ... Nie kończ... Nie cierpię moralnego niedołęstwa.

SŁUCKI. Ja ciebie wcale nie rozumiem.

MARUSIA. A po cóż masz mnie rozumieć. Jacy wy wszyscy jesteście zabawni z tym rozumieniem. Jesteś ładny chłopak, trochę głupi.

SŁUCKI. Marusiu.

MARUSIA. O cóż ty się obrażasz? Z rozumu w tym pokoju nicby ci nie przyszło. Masz ładnie wykrojone usta... Przesuń się tu... Pocałuj...

Słucki spełnia sumiennie polecenie.

MARUSIA. Czy to nie lepsze od rozumu?

SŁUCKI. Lepsze.

MARUSIA. Widzisz. Jak tak mówisz, to cię

lubię. Gdy zaczynasz być uczuciowym, stajesz się niewypowiedzianie nudnym. Zostawmy uczucia ludziom, którzy potrafią o nich pięknie mówić. Na to potrzeba umieć pięknie mówić, a my nie potrafimy.

SŁUCKI. Ty jesteś taka... dziwna...

MARUSIA. Cicho... cicho... Continuons...

Równocześnie w małym salonie Baronowa przyjmuje Szczytnickiego. Nie można powiedzieć, aby przyjęcie to było bardzo życzliwe, ile że pierwsze słowa baronowej są:

Jakim sposobem pan się tu dostał?

PROF. SZCZYTNICKI. Pani baronowo, po zwoliłem sobie wejść niemeldowany.

BARONOWA. Widzę to.

PROF. SZCZYTNICKI. Przychodzę, aby wyjaśnić nieporozumienie.

BARONOWA. Jakie?

PROF. SZCZYTNICKI. W ciągu ostatnich dni zgłaszałem się kilkakrotnie i pani baronowa nigdy nie była łaskawą mnie przyjąć.

BARONOWA. Panie profesorze, bardzo mi przykro, ale mąż mój mimo wszelkich nalegań z mej strony, nie zgodzi się przeprosić pana. Pojmuje pan teraz, dlaczego pana nie przyjmowałam... Proponuję.

PROF. SZCZYTNICKI. Pani baronowo, ja

przyszedłem właśnie oświadczyć, żeby się pani wcale tem nie krępowała.

BARONOWA. Jakto?

PROF. SZCZYTNICKI. Ja czułem, że pani całe to nieporozumienie musiało wyrządzić największą przykrość. Ale chcę pani ułatwić sytuację.

BARONOWA. Nie rozumiem pana...

PROF. SZCZYTNICKI. Ja wcale nie żądam, żeby pan baron mnie przeproszał. Pan baron jest zdenerwowany, parę tych słów wyrwało mu się w uniesieniu, cała rzecz zbyt jest drobna, aby to miało wpływać na nasze stosunki.

BARONOWA. Pan żądał przecież, żeby mój mąż odwołał...

PROF. SZCZYTNICKI. Zastanowiłem się jednak, że to było żądanie podyktowane pychą. Uniosłem się chwilowo i jako filozofowi wstyd mi teraz tego odruchu.

BARONOWA. Więc pan nie chce, żeby mój mąż odwoływał...

PROF. SZCZYTNICKI. Nie... Przypuszczam, że najlepiej będzie, gdy poprosto zapomnimy o tej całej sprawie. Ja już zapomniałem, dlatego się zjawiam po dawnemu. (*siada*). Jakże się pan baron miewa?

BARONOWA. Panie profesorze, to niemożliwe.

PROF. SZCZYTNICKI. Co?

BARONOWA. Takie zakończenie sprawy. Mój mąż obraził pana i musi pana przeprosić.

PROF. SZCZYTNICKI. Ależ ja tego wcale nie żądam. Skoro ja byłem obrażony, więc do mnie należy prawo przebaczenia. Ja z całego serca panu baronowi tę urazę przebaczam.

BARONOWA. Ale mój mąż jest wciąż jeszcze zagniewany na pana.

PROF. SZCZYTNICKI. Bo mnie nie widuje. Ręczę pani, że gdy dziesięć słów zamienimy, od razu stosunki nasze powrócą do dawnej serdeczności. Uniesienia są to rzeczy przemijające. My mamy coś głębszego co nas łączy: wspólne miłowanie jednakich ideałów.

BARONOWA. Zapewne, ale niech się pan liczy ze zdenerwowaniem mego męża.

PROF. SZCZYTNICKI (*wstaje*). Zaraz panią przekonam.

BARONOWA. O czym?

PROF. SZCZYTNICKI. Pójdę do barona.

BARONOWA. Nie panie...

PROF. SZCZYTNICKI. Przekonany jestem, że pan baron z radością mnie powita.

BARONOWA. Mój mąż śpi teraz.

PROF. SZCZYTNICKI. Śpi... Poczekam...

BARONOWA. Nie, panie w ten sposób absolutnie nie da się tej sprawy załatwić. Pan

nie zna mego męża. Mój mąż przeprosi pana, ale dopóki sam tego nie uczyni, pan naraziłby mu się w najstraszniejszy sposób, zgłaszając się do niego.

PROF. SZCZYTNICKI. Ależ pani baronowo. BARONOWA. Nie panie.

PROF. SZCZYTNICKI. Zdaje mi się, że pani baronowa zupełnie mylną drogę obiera.

BARONOWA. Proszę pana, ja chyba znam lepiej usposobienie mego męża.

PROF. SZCZYTNICKI. Ja chcąc się jak najszybciej skomunikować z panem baronem, działam tylko w interesie pana barona.

BARONOWA. Jako?

PROF. SZCZYTNICKI. Doszły mię słuchy, że pan baron dostał się pod wpływ jednego z najniebezpieczniejszych szarlatanów.

BARONOWA. Kto panu to mówił?

PROF. SZCZYTNICKI. O tem już wszyscy mówią.

BARONOWA. Więc cóż z tego?

PROF. SZCZYTNICKI. To jest Józef.

BARONOWA. Tak.

PROF. SZCZYTNICKI. Dawny służący państwa, skazany za kradzież?

BARONOWA. Rehabilitował się.

PROF. SZCZYTNICKI. Ten opryszek... kiedy?

BARONOWA. Wybacz pan, ale wyrażenia pańskie są conajmniej niestosowne. Pan Józef jest bardzo uczciwym człowiekiem. Przez fatalny zbieg okoliczności padło na niego podejrzenie i jeśli pan sobie przypomina, to pan sam swojemi radami przyczynił się do jego aresztowania.

PROF. SZCZYTNICKI. Ja?

BARONOWA. Powiedział pan wówczas »przestępstwo musi być ukarane«. Myśmy się wszyscy pańskimi słowami zasuggestywowali.

PROF. SZCZYTNICKI. Ja wówczas wierzyłem w jego winę.

BARONOWA. A dziś?

PROF. SZCZYTNICKI. Skoro pani sama mi mówi, że to było fatalne nieporozumienie...

BARONOWA. Ma więc pan najlepszy dowód, że Józef jest uczciwym człowiekiem.

PROF. SZCZYTNICKI. Zgodzę się z panią, że nie popełnił kradzieży, ale w każdym razie jest niezastępowalnym na zaufanie szarlatanem.

BARONOWA. Dlaczego?

PROF. SZCZYTNICKI. Ta chiromancya, jaką uprawiał po wyjściu z więzienia...

BARONOWA. Profesorze, a pan nie uprawiał chiromancyi?

PROF. SZCZYTNICKI. Pani baronowo, pani

mię obraża, porównywując mię z takim człowiekiem, jak Józef. Tego się nie spodziewałem.

BARONOWA. Bardzo mi przykro.

PROF. SZCZYTNICKI. Ja jestem człowiekiem nauki, a Józef pospolitym szarlatanem. Zdaje mi się, że na tę różnicę nie zwróciła pani uwagi.

BARONOWA. Józef był jednym z najpilniejszych uczniów pańskich.

PROF. SZCZYTNICKI. Moim uczniem?

BARONOWA. Nie pamięta pan, jak pochłaniał pańskie dzieła?

PROF. SZCZYTNICKI. Dzieł moich niepodobna zrozumieć bez odpowiedniego przygotowania.

BARONOWA. Dawniej pan utrzymywał, że każdy kto posiada duszę, może myśli pańskie zrozumieć. Józefowi posiadania duszy chyba pan nie odmawia.

PROF. SZCZYTNICKI. Pani baronowo, to jest gra słów.

BARONOWA. Jak to gra słów?

PROF. SZCZYTNICKI. Mówiłem to do państwa, ludzi posiadających odpowiednie wykształcenie. W żadnym razie nie mogło się to stosować do Józefa, natury prostej, nieokrzeseanej.

BARONOWA. Ostatecznie o co panu chodzi?

PROF. SZCZYTNICKI. Wpływ Józefa na

pana barona może być jak najfatalniejszy. Za pierwszy obowiązek uważam sobie panią o tem przestrzedz, a za drugi — zły ten wpływ jak najszybciej sparaliżować. Dlatego, zapominając o urazie osobistej, przychodzę, aby...

BARONOWA. Wybacz pan.

PROF. SZCZYTNICKI. Pani baronowa pozwoli mi dokończyć zdania.

BARONOWA. O tem, co może być dla mego męża złe albo dobre, my możemy tylko sami decydować. Mój mąż jest na pana obrażony i nie ma zamiaru widzieć się z panem.

PROF. SZCZYTNICKI. Niech pani powie...

BARONOWA. Co?

PROF. SZCZYTNICKI. Nic. Rozumiem, że chcąc dojść do porozumienia z pani mężem, obrałem jak najfatalniejszą drogę.

BARONOWA. Jakto?

PROF. SZCZYTNICKI. Ja poprostu byłem pani niewygodnym. (*Baronowa wstaje i wychodzi z pokoju*). Pani baronowo... pani baronowo... ja ja się źle wyślowiłem...

Biegnie ku drzwiom, ale Baronowa wychodząc, zamknęła je z drugiej strony na klucz.

IX. TRYUMF CNOTY

Prywatny gabinet barona. Godzina jedenasta rano. Przy biurku siedzi Józef, zajęty pisaniem listów. Po chwili dzwoni. We drzwiach ukazuje się Konstanty.

KONSTANTY. Pan sekretarz dzwonił?

JÓZEF. Odniesiesz ten list do pana profesora Szczytnickiego. Albo pošlij kogo, bo to daleko, aż na Stare Miasto, a ty będziesz mi potrzebny.

KONSTANTY. Proszę pana sekretarza...

JÓZEF (*zabierając się do pisania nowego listu*).
Co?

KONSTANTY. Ta kobieta znów tu przycho-
dziła.

JÓZEF. Kiedy?

KONSTANTY. Dziś rano.

JÓZEF. Wyrzucisz ją za drzwi?

KONSTANTY. Wyrzuciłem, ale ją coraz
trudniej wyrzucać.

JÓZEF. Więc cóż z tego?

KONSTANTY. Pan sekretarz obiecał mi za każdy raz rubla, ale ona tak się awanturuje, że z dziesięć złotych by mi się należało.

JÓZEF. Rubel dość.

KONSTANTY. Ja dziś z pół godziny z nią zmarnowałem.

JÓZEF. I ja mam płacić za twoje niedołęstwo? Nie, mój kochany. Rubel za wyrzucenie za drzwi, to jest aż nadto dobrze zapłacone.

KONSTANTY. — —

JÓZEF. Na cóż ty czekasz?

KONSTANTY. Proszę pana sekretarza, ona tu napewno codzień będzie przychodziła. Może by mi pan sekretarz był łaskaw z góry za parę razy... Mnie dziś tak potrzeba pieniędzy.

JÓZEF. Najgorzej jest z góry wybierać.

KONSTANTY. Pan sekretarz będzie łaskaw, ja już się postaram, żeby to nie zwracało uwagi.

JÓZEF. Ile chcesz?

KONSTANTY. Pięć rubli. Do końca tygodnia ona z pięć razy przyjdzie napewno.

JÓZEF. Ostatecznie pięć rubli mogę ci dać.

KONSTANTY. A ona dziś się odgrażała, że się zacai na ulicy i obleje pana sekretarza witryolejem.

JÓZEF (*wesoło*). Mówiła to? Słyszałeś wyraźnie?

KONSTANTY. Ale ze trzy razy powtarzała. Stróż także słyszał.

JÓZEF. Doskonale. Masz rubla.

KONSTANTY. Pan sekretarz pięć mi obiecał.

JÓZEF. Za wyrzucanie.

KONSTANTY. No tak.

JÓZEF. Ale wobec tego, że już jej nie będziesz wyrzucał...

KONSTANTY. Jako nie?

JÓZEF. Nie, bo ją wsadzimy do kozy za pogróżki.

KONSTANTY. Oo...

JÓZEF. Ja nigdy nikogo nie chcę wyzyskiwać. Masz dwa ruble za stratę i... wynoś się!

Konstanty wychodzi zachmurzony. W progu mija się z baronem.

Baron w rozpiętym palcie, z pod którego widać frak, na głowie cylinder, zlekka zsunięty z czoła. Wszedłszy do pokoju, zatrzymuje się przy drzwiach i ślania, jakby miał upaść. Józef podbiega szybko ku niemu.

BARON (*zduszonym głosem*). Po... pomóż... mi się... rozebrać.

Józef ściąga z niego palto, pomaga mu przejść przez pokój i usadawia w głębokim, wyściełanym skórą fotelu. Baron siedzi przez chwilę nieruchomo, z przymkniętymi oczami.

JÓZEF. Pewno pan baron piechotą wracał do domu?

BARON. Przyjechałem.

JÓZEF. Bardzo dobrze. Chodzenia pan baron powinien się strzedz, bo to pana barona męczy.

BARON. Mnie nie chodzenie męczy, tylko to życie...

JÓZEF. Panie baronie, to konieczne.

BARON. Ale ja już sił nie mam...

JÓZEF. Niech pan baron przejdzie teraz do sypialni i położy się do łóżka. Jak pan baron parę godzin się prześpi, będzie pan taki zdrów i rzeźki, jak nigdy... Ja panu baronowi pomogę przejść.

BARON. Nie... nie... nie... nie ruszaj mnie.

JÓZEF. Trochę silnej woli, panie baronie, niema takiego znużenia, któregooby siłą woli nie można było przezwyciężyć...

BARON. Jakież to wszystko wstrętne!

JÓZEF. Co?

BARON. Ci ludzie, te kobiety... Nie, mój Józefku, rób co chcesz, już mnie drugi raz na zabawy tego rodzaju nie wyślesz.

JÓZEF. Czyż to ja wysyłam pana barona?

BARON. Była tam jedna baletnica... Co za bezwstyd, co za upadek... Wciąż siadała mi na

kolanach i musiałem się z nią całować. Ja drugi raz czegoś podobnegobym nie przeżył.

JÓZEF (*surowym tonem*). Panie baronie, nie wolno tak mówić, nie wolno się uchylać od ofiary.

BARON. Strasznie ciężka ofiara.

JÓZEF. Bywają cięższe.

BARON. Pomóż mi wstać.

Józef podaje mu ramię. Baron podnosi się, odrazu jednakże usuwa się z powrotem na fotel.

BARON. Czekaj... jeszcze chwilę...

JÓZEF. Dużo osób było?

BARON. Gdzie?

JÓZEF. Na tem zebraniu.

BARON. Wiesz, że nie wiem nawet. Ja się tak niedobrze czułem przez cały czas, że siedziałem, jak nieprzytomny. (*po chwili*). Pomyśleć, że to i dziś wieczór jeszcze mnie czeka.

JÓZEF. Nie, dziś pan baron będzie mógł wypocząć.

BARON (*radośnie*). Będę mógł wypocząć! Wiesz, że to mi odrazu dodało sił! (*zrywa się z fotelu*). Widzisz, na samą myśl o tem, że będę mógł wieczór przyzwoicie spędzić w domu, odżyłem.

JÓZEF. Bo pan baron nie był tak zmęczony, jak się panu baronowi zdawało. To wszystko suggestya.

KONSTANTY (*wchodzi*). Jaśnie pani baronowa prosi pana sekretarza na chwilę.

Józef spogląda pytająco na barona.

BARON. Idź... idź... Konstancy pomoże mi się rozebrać.

Józef przechodzi do małego salonu, gdzie czeka na niego Baronowa.

JÓZEF. Pani baronowa mnie wzywała?

BARONOWA. Tak. Co mój mąż porabia?

JÓZEF. Pan baron przed chwilą wrócił do domu.

BARONOWA. Jakto przed chwilą?

JÓZEF. Przed chwilą. Pan baron spędził dziś noc poza domem.

BARONOWA. Gdzie?

JÓZEF. W gabinecie restauracyjnym.

BARONOWA. Z kim?

JÓZEF. Było mieszane towarzystwo, paru mężczyzn, parę kobiet.

BARONOWA. ? ?

JÓZEF. Udało mi się pana barona skłonić.

BARONOWA. Więc to pan go namówił?

JÓZEF. Ja. Zdawało mi się, że może taka rozrywka wpłynie dodatnio na usposobienie pana barona. Przytem...

BARONOWA. Co?

JÓZEF. Myślę, że to również wywrze dobry wpływ na mieście.

BARONOWA (*po chwili*). Pan jest bardzo sprytny człowiek.

JÓZEF. Pani baronowo, pani baronowa wybaczy mi śmiałość... Ja pragnąłbym z panią baronową szczerze pomówić.

BARONOWA. Ależ proszę, o czym pan chciał mówić ze mną?

JÓZEF. To się nie da tak w dwóch słowach opowiedzieć.

BARONOWA. A ileż czasu panu na to potrzeba?

JÓZEF. Z pół godziny.

BARONOWA. Tyle mogę panu poświęcić. Słucham pana.

JÓZEF. — —

BARONOWA. Skoro pan się będzie tak długo namyślał, to pół godziny nam nie wystarczy.

JÓZEF. Pani baronowo... pani baronowa jest uprzedzona do mnie.

BARONOWA. Ja do pana? Skądżeż to panu do głowy przyszło?

JÓZEF. Ja to czuję.

BARONOWA. Chyba ma pan na każdym kroku dowody, że darzę pana zaufaniem.

JÓZEF. Tak, ale to nie jest szczerze.

BARONOWA. Co nie jest szczerze?

JÓZEF. Pani baronowa nie ma do mnie zupełnego zaufania. Przepraszam, niech mi pani nie przerywa. Pani baronowa nie wierzy w moją szczerłość, obawia się czegoś z mej strony, czy ja wiem, może zemsty...

BARONOWA. Zemsty... Niech mi pan teraz pozwoli mówić. Jeśli zawiniłam w swoim czasie wobec pana, a przyznaję, że zawiniłam trochę lekkomyślnie, kierując się poszlakami...

JÓZEF. Pani baronowo...

BARONOWA. Co?

JÓZEF. Skoro mamy mówić szczerze, mówmy szczerze. Pani się nie kierowała lekkomyślnie poszlakami. Tego zarzutu nie może pani sobie robić. Pani działała z zupełną świadomością.

BARONOWA (*wstając*). Jak pan śmie...

JÓZEF. Niech pani usiądzie. Chwilę zimnej krwi. Niech pani tylko nie rozumie fałszywie moich intencji. Ja utrzymuję, że pani fałszywie oskarżyła mię o kradzież przez zemstę, ale stąd nie wynika bynajmniej, abym czuł do pani jakikolwiek żal.

BARONOWA. Jakiż pan wspaniałomyślny.

JÓZEF. Wspaniałomyślny... Nie. Ja tylko nauczyłem się filozoficznie zapatrywać na życie. I należy mi się dla pani duża wdzięczność.

BARONOWA. Ze swej strony bardzo jestem panu za to uznanie wdzięczna, ale...

JÓZEF. Pani baronowa nie wie dobrze o co mi chodzi. Wszak prawda?

BARONOWA. Przypuśćmy.

JÓZEF. Bo napozór to dziwne. Przez panią dostałem się do więzienia...

BARONOWA. Panie Józefie, to są rzeczy, które minęły.

JÓZEF. Jeden jedyny raz poruszę to wspomnienie. Otóż o ile się ktoś dostaje niesprawiedliwie do więzienia, to rzadką jest rzeczą, aby tego, kto go tam wtrącił, uważał za dobroczyńcę. Tu zachodzi jednak ten wyjątkowy wypadek. Mam prawo utrzymywać, że pani wyświadczyła mi dobrodziejstwo.

BARONOWA. Bardzo się cieszę...

JÓZEF. Mnie chodzi o to, żeby mnie pani baronowa zrozumiała... Pani wyświadczyła mi dobrodziejstwo i profesor Szczytnicki mi je wyświadczył. Jeśli tu dziś jestem u państwa na tem zaszczytnem stanowisku, to zawdzięczam to jemu i pani.

BARONOWA. Jemu i mnie?

JÓZEF. Tak, pani baronowo, ale teraz upraszam panią o chwilę wyrozumiałości i zimnej krwi, bo będę mówił o rzeczach drażliwych.

BARONOWA. Nie powiem, aby ta rozmowa dotychczas nie była drażliwą. A pan mi obiecuje jeszcze lepsze rzeczy...

JÓZEF. To będzie parę zdań tylko.

BARONOWA. Postaram się zastosować do pańskiego życzenia.

JÓZEF. Będę się starał ominąć drażliwości te jak najdelikatniej. Niepodobna jednakże nieporuszyć ich wcale. Otóż, pani baronowo, wyobraźmy sobie, coby było, gdybym wówczas, pamięta pani scenę jaka rozegrała się między nami w tym samym salonie, gdybym był wówczas pani uległ...

BARONOWA. Proszę pana...

JÓZEF. Ależ, pani baronowo...

BARONOWA. Ani słowa więcej. Nie życzę sobie, aby pan o tem mówił.

JÓZEF. Pani mię wcale nie rozumie... Przecież ja to bynajmniej nie w złej intencji. Wyobraźmy sobie, coby było, gdybym był wówczas pani uległ, ja biedny lokaj, pani jednej z najpierwszych dam w kraju.

BARONOWA (*ironicznie*). Dziękuję panu za komplement.

JÓZEF. Pobawiłaby się pani mną przez pewien czas i odrzuciła mię, jak wyciśniętą cytrynę.

BARONOWA. Cóż za porównanie...

JÓZEF. Może banalne trochę, ale przyzna mi pani, że takby było, a nie inaczej. Na szczęście ja się wówczas pani oparłem. A wie pani czemu? Pan profesor Szczytnicki zawrócił mi w głowie.

BARONOWA. Cóż dalej?

JÓZEF. Dzięki temu dostałem się do więzienia i rozjaśniło mi się w oczach.

BARONOWA. To widzę...

JÓZEF. Pani baronowa żartuje, a ja mówię zupełnie poważnie. Nauczyłem się oceniać prawdy, tak jak je oceniać należy... Ja przedtem pojmo- wałem naukę profesora Szczytnickiego czysto teoretycznie.

BARONOWA. Żałuje pan tego teraz?

JÓZEF. Nic nie żałuję.

BARONOWA. Panie Józefie, pół godziny minęło, niech się pan streszcza, bo ostatecznie i do wieczora się nie rozmówimy. Całego dnia poświęcać panu nie mogę.

JÓZEF. Jak pani baronowa nieżyczliwie mię traktuje.

BARONOWA. Chyba już przez to samo daję panu dowód dużej wyrozumiałości, że słucham pana.

JÓZEF. Mnie to samo nie wystarcza.

BARONOWA. Czegoż pan chce jeszcze?

JÓZEF. To potem pani baronowej powiem.

Przedtem niech mnie pani jeszcze cierpliwie wysłucha.

BARONOWA. Niechżeż pan cierpliwie mówi.

JÓZEF. Dzięki temu, że przeczytałem książkę profesora Szczytnickiego, mogłem się wykształcić na chiromantę.

BARONOWA. Ach tak...

JÓZEF. To było, że tak powiem, podwaliną mojej wiedzy.

BARONOWA. Którą pan uzupełnił w więzieniu.

JÓZEF. Pani baronowa ironizuje, a ja mówię zupełnie poważnie. Otóż życie moje splotło się w taki łańcuch. Gdybym był nie przejął się zasadami profesora Szczytnickiego, nie oparłbym się oczywiście pani baronowej, nie dostałbym się do więzienia, nie zostałbym chiromantą, nie miałbym zaszczytu przyjmowania pani baronowej u siebie...

BARONOWA. Rzeczywiście, wszystko to dziwnie się splotło.

JÓZEF. To jest ta mistyczna logika życia, o której mówił profesor Szczytnicki.

BARONOWA. Wszystko to bardzo piękne, zgadzam się z panem, że to jest mistyczna logika życia, że pan profesorowi Szczytnickiemu wiele zawdzięcza, ale do czegoż pan zmierza?

JÓZEF. Właśnie przechodzę do najważniejszego. Chcę, żeby pani baronowa nabrała do mnie zaufania.

BARONOWA. Jużśmy o tem mówili. Zapewniałam pana, że je mam.

JÓZEF. Pani baronowa mi wybaczy, ale nie wierzę. Pani zaufania do mnie niema. Jestem pani potrzebny i przydatny. Ale pani mię śledzi, pani się mnie obawia, w głębi duszy przypuszcza pani, że zachowałem do niej żal i że czekam tylko okazji, aby się zemścić...

BARONOWA. Przenikliwy z pana człowiek... ale przypuśćmy, że tak jest.

JÓZEF. To mi sprawia przykrość.

BARONOWA. Czyż pan aż tak to odczuwa?

JÓZEF. Pani baronowo, jeśli mówię o przykrości, to nie ze względu na mnie. Mnie przykro za panią.

BARONOWA. Za mnie?

JÓZEF. Tak. Ja rozumiem doskonale, co to za niemiły stan wciąż kogoś podejrzewać, ważyć każde swoje słowo. Pani się męczy niepotrzebnie...

BARONOWA. Ależ pan przecenia...

JÓZEF. Nie, pani baronowo.

BARONOWA. Wierzę najzupełniej, że pan zapomniał już zupełnie o krzywdzie, jaką mu

w uniesieniu wyrządziłam. I może pan być przekonany, że umiem ocenić ten szlachetny odruch jego serca.

JÓZEF. Nie serca.

BARONOWA. Jakto?

JÓZEF. Serce to rzecz zawodna i zmienna... Ja nie żywię do pani baronowej urazy, bo nam z tem będzie wygodniej.

BARONOWA. Ach, tak pan kwestyę stawia.

JÓZEF. Nauczyłem się cenić rozum.

BARONOWA. Tak, rzeczywiście, pański rozum można podziwiać.

JÓZEF. Pani baronowo, poco ta ironia? Dawniej innym tonem pani do mnie przemawiała.

BARONOWA. Kiedy dawniej?

JÓZEF. Tu w tym salonie.

BARONOWA. Smutno się to dla pana skończyło.

JÓZEF. Dowiodłem pani, że nie smutno... Ja wtedy nie byłem jeszcze do takiej rozmowy przygotowany ideowo.

BARONOWA. A dziś?

JÓZEF. Dziś nauczyłem się szerszej życie pojmować.

BARONOWA. Ale może ja nauczyłam się je pojmować inaczej.

JÓZEF. Nie.

BARONOWA. Skądżeż pan to może wiedzieć?

JÓZEF. Ja to czuję.

BARONOWA. Pan... taki nieuczuciowy człowiek?

JÓZEF. Pamięta pani... wszedłem do salonu... tak stałem... *(staje w odpowiedniej pozycji)* Pani baronowa spojrzała na mnie i zaczerwieniłem się...

BARONOWA. Dziśby się pan nie zaczerwienił.

JÓZEF. Niech pani baronowa popatrzy tak samo na mnie...

BARONOWA. Pan się umie na zawołanie czerwienić.

JÓZEF. O cóż chodzi, o rumieniec?

BARONOWA. Pański cynizm...

JÓZEF. Pani baronowa pytała mię, czy mam narzeczoną.

BARONOWA. Jak widzę, czar wspomnień ogarnął pana całkowicie. A co się tyczy tego zapytania, o którym pan wspomniał, to dziś mógłby pan na nie odpowiedzieć twierdząco.

JÓZEF. Jakaż pani złośliwa.

BARONOWA *(z naciskiem)*. Pani baronowa. Zapomina pan, że mam tytuł.

JÓZEF. Wtedy pozwoliła mi pani nie używać go za każdym razem.

BARONOWA. Od wtedy wiele się zmieniło.

JÓZEF. Nic.

BARONOWA. Wybacz pan, ale o tem ja mogę tylko sądzić. Ale wracając do pańskiej narzeczonej. Ta kobieta znów tu dziś przychodziła.

JÓZEF. Już nie będzie przychodziła.

BARONOWA. Bardzobym była panu wdzięczna, gdyby się pan o to postarał... Bądź co bądź to niemiłe...

JÓZEF. Pani baronowa może być spokojna... Dziś jeszcze załatwię tę sprawę.

BARONOWA. Jednak to niepiękne z pańskiej strony...

JÓZEF. Co ?

BARONOWA. Pańskie postąpienie z panną Emilią... Ona pana szczerze kochała.

JÓZEF. Pani baronowo, zdarzają się w życiu sytuacje, w których uczucie trzeba usunąć na dalszy plan.

BARONOWA. Dziwny aforyzm.

JÓZEF. Nie mój. Jeśli pani baronowa sobie przypomina, to pani sama go wypowiedziała przed paru dniami.

BARONOWA. Ja, kiedy ?

JÓZEF. Była mowa o kuracyi pana barona.

BARONOWA. Pół godziny minęło. Nic więcej nie miał mi pan do powiedzenia...

JÓZEF. Jeszcze słowo.

BARONOWA. Niech się pan spieszy.

Józef obejmuje ją w pół i całuje w usta.

BARONOWA. Jak pan śmiesz...

Wobec drugiego mocniejszego pocałunku Józefa, siły ją opuszczają.

.....
W godzinę potem. Prywatny gabinet barona. Józef siedzi przy biurku. Konstancy wprowadza Szczytnickiego.

JÓZEF. Witam pana profesora.

PROF. SZCZYTNICKI. Otrzymałem pański list... Czem panu mogę służyć ?

JÓZEF. Panie profesorze, parę słów, ale niechżeż pan siada przedewszystkiem... *(po chwili)* I myśmy pański list otrzymali...

PROF. SZCZYTNICKI. Mój list był zaadresowany osobiście do barona.

JÓZEF. Ale ja załatwiam prywatną korespondencję pana barona. Pan baron dał mi do przeczytania.

PROF. SZCZYTNICKI. Więc ?

JÓZEF. Pan baron bardzo żałuje, ale żądanej zapomogi nie może panu udzielić.

PROF. SZCZYTNICKI *(wstając)*. Pan mnie wzywał, aby mi to tylko powiedzieć ?

JÓZEF. Nie. Ja chciałem panu jeszcze coś

powiedzieć od siebie... Ale niechżeż pan profesor siada.

Prof. Szczytnicki siada po chwilowem wahanu.

JÓZEF. Ja panu profesorowi bardzo wiele zawdzięczam...

PROF. SZCZYTNICKI. Nie wiedziałem...

JÓZEF. Studyowanie pańskich dzieł...

PROF. SZCZYTNICKI. Zdaje mi się, że pan je zupełnie fałszywie rozumiał.

JÓZEF. Rezultaty wskazują, że dobrze.

PROF. SZCZYTNICKI. Jakie rezultaty?

JÓZEF. To, że tu jestem.

PROF. SZCZYTNICKI. Z pewnego poziomego punktu widzenia ma pan słuszność.

JÓZEF. Gdyby nie pan, nigdybym nie został chiromantą. Z pańskiej książki zaczerpnąłem pierwsze zasady tej wiedzy.

PROF. SZCZYTNICKI. Uprawiał ją pan praktycznie...

JÓZEF. Tak, i właśnie chciałem panu profesorowi coś zaproponować... Wiem, że pan jest obecnie w bardzo ciężkich warunkach. Na ostatnim pańskim odczycie zebrało się niewiele osób.

PROF. SZCZYTNICKI. Nikt nie przyszedł.

JÓZEF. Pojmuję pańskie rozgoryczenie. Otóż co do zapomogi, to i ja jej panu nie mogę udzie-

lić, ale... mam doskonale postawiony gabinet chiromantyczny... z wyrobioną klientelą... Obecnie nie mogę się już tem zajmować, a przedsiębiorstwo zapowiadało się tak dobrze, że szkoda by go było zaniedbywać...

PROF. SZCZYTNICKI. I pan mnie to proponuje?

JÓZEF. Tak.

PROF. SZCZYTNICKI (*po długim namyśle*). Dobrze.

JÓZEF. Pan to będzie mógł uszlachetnić...

PROF. SZCZYTNICKI. Tylko dlatego właśnie przystaję na pańską propozycję. A ponieważ płynie ona z dobrego serca, więc dziękuję... (*ściskają się za ręce*).

JÓZEF. To jest mistyczna logika. Pamiętam, Marusia, dając mi pańską książkę, powiedziała, że powinienem błogosławić tego człowieka, co mnie nauczył czytać... Ja pańskiej książce zawdzięczam swe dzisiejsze stanowisko i to, że panu mogę dobrze zrobić... (*uroczystym gestem wznosi dłoń do góry*).

PROF. SZCZYTNICKI. Co pan robi?

JÓZEF. Błogosławię tego człowieka, co mię nauczył czytać...

KONIEC.

BIBLIOTHECA
RESIDENTIAE CRACOVENSIS
P. P. SOCIETATIS JESU